N. 51. WARSZAWA d. 9 (21) Grudnia ROKU 1872

# TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

**Treść Numeru.** To i owo.—Boże Narodzenie (wiersz).—O postępie.—Depozyt powieść przez Walerją Marrené.—Przegląd teatralny.—Zabawki i gry towarzyskie dla dzieci.—O ubiorach.—Od Redakcji.— John Scrooge powiastka na Boże Narodzenie przez Karola Dickens'a.—Przytem dodatek z drzeworytami.

## To i owo.

Adwent!—pogadajmy o rzeczach poważnych—nazbytkujemy się dość w karnawale.

O moje piękne panie! w przeddzień świętego Andrzeja, co się też wam śniło?

Że staniały koronki, dyamenty, tureckie szale, bilety na koncerta? Przyśniło wam się—przyśniło.

Że nic łatwiejszego, jak nawyknieniem do zbytku, wybrednym smakiem, wymaganiami bez końca, bogatego męża sobie przywabić? Przyśniło wam się przyśniło.

Że my po hypotekach, dziewiczego serduszka, pięknie zaopatrzonej główki, lub choćby różowego buziaczka szukamy? Przyśniło wam się wszystko to, przyśniło.

A czy śniło też się której o chatce w lesie, o złotowłosym poecie, o suchym chleba kawałku, w noc księżycową, przy śpiewie słowika? Nie? żadnej? To i dobrze. Poezya z mody dziś wyszła. Nawet jak niegdyś lwa konającego, śmieszność sromotnie ją dobija. Nie dawno temu, w jednem z pism tutejszych, omylono się w ten sposób: że Minstrel siedział u stołu z *torbą* w ręku, a miało być z *harfą*. Znałem też poetę, który w jakiejś pieśni z kopyta wjeżdżał na *uraganie*. Rzecz efektowa, i byłoby poszło jak z płatka, gdyby nie zecer niegodziwiec, który w roztargnieniu dodał ogonek gdzie był najmniej potrzebny, i z uraganu zrobił *urąganie*.

I dobrze tak tym utrapionym wierszokletom. Gdybyście wiedziały co oni o was przed równouprawnieniem wygadywali! Przypominam sobie między innemi w jednym z dawnych kronikarzy (niejakim Baszkonie) z powodu Ryxy, czy Agnieszki, wiersz naprzykład następujący.

Foemina raro bona, sed quae bona digna coronae.

W przypuszczeniu, że zajęcia około spraw śpiżarnianych nie doprowadziły was jeszcze do stosownej biegłości w kuchennej łacinie, zmuszonym się widzę wiersz ten po polsku wam przełożyć—choć to i ja w tym kunszcie niezbyt jestem biegły (prędzejbym już potrafił po francuzku). Otóż, jeśli się nie mylę, znaczy to mniej więcej:

Kobietą rzadką była Bona, więc Bona godną była korony. (Bona żyła wprawdzie póżniej nieco—ale od czegoż duch wieszczy w poecie?)—Rzadką z czego? Że była zalotna, próżna, wymagająca, kapryśna, że była zbytnica, źle wychowana, lubiąca karety, bale, koncerta, loże na pierwszem piętrze, że męża za nos wodziła, i tym podobnie? Toćże słyszę włosy sobie nawet złociła, wlekła za sobą potworne ogony, podmalowywała sobie oczy, bieliła się proszkiem ryżowym (bo już i wtedy ryż był na świecie). No, no, może to i rzadkie było w owych czasach—ale żeby aż godne korony... Wszak prawda, że nie bardro godne? ale gadaj tu z poetami.

Do licha toćże i ja się kiedyś dopuszczałem poezji; po co tu samemu sobie psuć sprawę? Przejdzmy co prędzej do Kochanowskiego. Ten poczciwiec, to już przynajmniej Hannę i Urszulkę za boskie stworzenia uważał. Wprawdzie jeszcze nie przypuszczał, żeby białogłowa (po dzisiejszemu upudrowana głowa) mogła być admirałem, prezesem sądu kryminalnego lub dyrektorem górnictwa, ale wierzył naprzykład; że koniecznie powinna być co się nazywa kobietą. Więc oto co mówi z tej przyczyny:

Żona uczciwa ozdoba mężowi.  
I najpewniejsza podpora domowi,  
Na niej rząd wszystek—swego męża ona  
Głowy korona.

I za nim zaraz Grochowski:

....Żona korona twej (mężu) głowy.

Ci już, jak widzimy, nie kobietę koronują! ale nią wieńczą głowę męża. I o żonie tu tylko mowa—ale przecie nie został żoną, kto nie był wprzódy panną na wydaniu. Tylko znów—o Boże drogi! toćżeto im bliżej emancypacyi, tem do piedestału dalej! I żoną koniecznie—tam do licha! a skąd tu męża sobie wziąść—czy to tak łatwo? i żeby go uwieńczyć—a czy będzie wart? i jeszcze dom mu podpierać—a jak nie będzie miał kamienicy? Na szczęście, cały rząd przy niej—to jest ma się rozumieć rządzenie—to jest zwierzchność cała—to jest klucz od szkatulki i jeszcze we wszystkiem głos przeważny.—Ale czy będziesz waspan cichy, posłuszny, nie wtrącający się do niczego—jednem słowem wygodny co się zowie, mój ty panie tak zwany mężu? Ej, a jak waści w głowie tylko śniadanka u Bocqueta, czarna kawa u Loursa, baliki w Tivoli, dwu złotowe dorożki, zielony stolik i buteleczka wysmukła?

O, moje panie! gdybyście wiedziały co to jest przewrotność męzka! Toż nawet i co się owej Bony tyczy—gdyby tak dosłowniej nieco chcieć przepolszczyć....

Ale co ja tam będę z wami nieprzyjaźni szukał. Za dni parę w Bazarze zasiadać będziecie—a nuż jak w roku zeszłym zechcecie nie zdawać nam reszty?

Wiem o takim, który prostodusznie na cenę towaru spojrzawszy, położył pięciorublówkę i czekał cierpliwie. Papierek znikł w sufladce, podziękowano mu czarującym uśmiechem i znagła poczęto mówić o czem innem. Drugi zgodnym sposobem ofiarował za fraszkę jakąś dziesięć rubli, ale że dał dwadzieścia pięć ani się opatrzył, jak znikły w całości. Stał się publicznym dobroczyńcą—ale niemniej odszedł z jałowym na ustach uśmieszkiem. Zdjął mię niejaki żal jego doli—gdyby był za tę cenę chociaż książkę kupił.

Atoli, przypuszczając nawet (co nie jest dowiedzione) dobrą chęć jego w tym względzie—gdzie tu możność jej zaspokojenia, skoro tam książek wcale nie było?

Czy choć w tym roku będą? Jeśli zaś będą, to

niechby nie koniecznie dla dzieci; a jakby już dla dzieci, to znów nie koniecznie takie, jak *Duch Puszczy*, straszliwy Dzibbeaenosach.

Zapewne, nie złe to przygotowanie dla takich, coby w przyszłości koniecznie jak my czytać mieli: romanse kryminalne, zakwestyonowane morały i roztrzęsione dramata, drgające nerwowo społecznemi choroby. Ale jak też za jakie lat dziesięć o tem wszystkiem nie będzie już ani słychu? Rzecz możebna—za dni naszych stało się to już z Tajemnicami Paryża, Siedmią grzechów głównych i Muszkieteryą.

Już to z książkami trzebaby dość ostrożnie. Odwykliśmy je kupować. Oduczyła nas tego niepomierna ilość czasopism, zaspokajających jako tako bieżące w tym względzie potrzeby.

Ale też znalazło się nareszcie jedno, które literaturze książkowéj wspaniale podając rękę, cztery razy do roku bibliotekę całą bezpłatnie do nabycia narzuca. Posądzacie je: że to robi w chęci pomnożenia sobie liczby prenumeratorów—życzylibyście mu owszem ich zmniejszenia, żeby powiększyć szansę wygranéj—ale to jest zapłata za chleb kamieniem. Pierwszego nie ma się co wypierać—z grzeczności się takich rzeczy nie robi. Co do drugiego, to istotnie na tak znaczną ilość wyborowych książek, śmiało można było urządzić kilka, nawet kilkanaście premiów oddzielnych. Już sama taka Historya Literatury Wiszniewskiego starczyłaby za porządny uśmiech losu. Daléj podobnież dzieła: Kremera, Libelta, Szajnochy, Mickiewicza, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Syrokomii, Podania Litewskie Chodźki—doprawdy, każda z takich książek pojedynczo wzięta, jest sobie nie lada pięknym podarunkiem.

Bądź jak bądź—mówcie sobie co chcecie—na raz jeden sto pięćdziesiąt tomów zdrowego pokarmu duchowego—toć już spore bogactwo biblioteczne. Jeśli ma być koniecznie loterya, to niech przynajmniéj będzie taka. Zaczem z całego serca przyklaskujemy téj nowéj próbie leczenia nas od księgosuszu. Oby przynajmniéj szczęśliwszą była, od tych rozlicznych prób leczenia cholery, z których ani jedna dotąd nie okazała się stanowczo zwycięzką.

Już to żyjemy przyznać trzeba w czasach prób wszelakich.

Niedawno temu, sprobowaliśmy podobno wpłynąć w ogon komety—i cóż?—i nic—napadało nam tylko gwiazd co nie miara, nabłyskało, i świat wcale się nie skończył. Wprawdzie powiadała mi żona stróża w podwórku, że nazajutrz widocznie było mniej, niż zwykle gwiazd na niebie; ale że podwórko nasze jest małe, więc też i astronomia na niem dość bywa ograniczona. Jakoż, w dni parę, okazało się: że znowu gwiazd jest ile potrzeba,—musiał je Pan Bóg powykrawać ze starego księżyca—mówiła naiwnie poczciwa babina.

Tymczasem zaś—co to będzie? Deszcze—ciepła. Bzy kwitną, róże kwitną—poziomki mamy i maliny, słowem przysmaki wszelkie—byleśmy tylko w roku przyszłym nie zbyt się natarczywie napierali chleba.

Ale może i chleb się urodzi, i to jeszcze nierównie prędzéj niż go zapotrzebujemy. Przecież i zboże ciągle podrasta—a nuż je w marcu zbierać przyjdzie? a nuż drugi raz jeszcze potem ku jesieni? Tyleby go więcéj sprzedać można—tyle za to lasów niewinnych zaoszczędzić.

Chociaż znowu bez zimy jak tu ze ślizgawką będzie? No od biedy można coś na kółkach urządzić, na podobieństwo trzeciego aktu Proroka. Gorzéj sto razy o moje panie, że nie będzie się czem w tańcu chłodzić. Ale precz od nas owe czarne myśli!—do tańca jeszcze tygodni parę.

Tymczasem oto koncertami się bawimy. Odbyło się ich już kilka—wszystkie z niezbędnem spóźnianiem się, wychodzeniem zawczasu, a także z niespodziankami, którymby już może czas koniec położyć. W tym względzie jako rzecz modelową, przypominamy poranek muzyczno-deklamacyjny p. Chęcińskiego. Była to zabawa całkiem humorystyczna, mająca jak się zdaje na celu wykazać: do czego nareszcie dojść może, jeśli się wszyscy uczestnicy podobnego żartu na jedno zmówią.

Istotnie rzecz to nie do pojęcia: żeby też nie można było złożyć ani jednego koncertu z należnem uczuciem poszanowania dla publiczności, która tam przecież jest osobą główną, jak raz przy pustych ławkach nie byłoby co wchodzić na estradę. Czytasz na rogu afisz z ogłoszeniem—ślicznie się to zapowiada. W programie który kupił wchodząc, już widzisz zmiany tu i owdzie—ha! cóż robić?—zapłaciłeś—przepadło. Wreszcie zaczął się koncert—co u licha? deklamacya z części drugiéj wjechała w pierwszą, za to numer siódmy przeistoczył się w dwunasty—owdzie znów—coś opuszczono—ale nic—rzecz daléj idzie. W tem wieść się rozchodzi głucha: jako panna X, śpiewać *zapewne* nie będzie—dają też do domysłu: że pan Y. mocno zachorował. Przychodzi koléj na panią Z. Gdzie pani Z? Ach! nie ma jéj, nie wiadomo czemu—no to się obędzie i tym podobnie. Po koncercie zachodzisz na kolacyę do Bocqueta i tam—czy cię wzrok nie myli?—toćże to pan Y. we własnéj swojéj osobie leczy się w onéj aptece polędwicą, w towarzystwie miłem wesołéj butelki.

A! moi państwo, przepraszam was jak najmocniej, ale pozwólcież powtórzyć sobie to, co niedawno komuś powiedziano w Tivoli. Nie należy się bardzo w dumę wzbijać—bo któż przewidzieć zdoła co go w przyszłości spotka? A nuż z odmianą losu z estrady zejdziecie kiedy na słuchaczy—to czy przyjemnie wam będzie wtedy, jak wam za wasze pieniądze ktoś zawód zrobić zechce i potrafi?—

## Boże Narodzenie.

Bóg się narodził!... Wieczna myśl boża
Zeszła na ludzkich myśli rozdroża,
*Słowo* się stało czynem i ciałem—
Bóg ideałem.

I odkąd jeden wielki cel świeci,
Za ojcem ducha śpieszą wzwyż dzieci:
Każdy czyn zrodzon Jego widokiem
Jest nowym krokiem.

Każda myśl z Jego myśli urosła
Dziejowej nawy zasila wiosła,
Każde uczucie niepokalane
Postępem zwane.

Ale ideał wiecznie olbrzymi
Olśniewa oczy promieńmi swymi,
I ludzkość nieraz jakby w ślepocie
Urąga cnocie.

A w on czas Chrystus na dziejów krzyżu,
Miasto narodzin, w zbrodni pobliżu
Wznosząc ku niebu krwawe ramiona,
Za ludzkość kona.

Dziś też narodzin Bożych rocznica,
Świętem wspomnieniem promienne lica...
Lecz czyż na prawdę i serce bije?
Czy Chrystus żyje?...

Nie w naszych piersiach Bóg się narodził,
Nie z nami Chrystus po ziemi chodził—
Na krzyżu złotym podstępnie skrycie
Wzięto mu życie.

Gwoździmi niewiary przebito dłonie,
Cierń samolubstwa oplótł mu skronie,
Indyferentyzm żółcią uraczył—
A On?... przebaczył...

I ludzie pójdą postępu drogą,
Choć się na lata zacofać mogą,
Choć aż dziś wszędy pycha przewodzi
Bóg się narodzi!

Bóg się narodzi w łonie ludzkości,
Witać Go będą ubodzy, prości,
Słowo się stanie czynem i ciałem—
Człek ideałem!

*Laskarys.*

# O postępie.

(Dokończenie).

Był on przyjacielem Żyrondistów, którzy polecili mu ułożenie konstytucyi z ich upadkiem i on nie uniknął prześladowania, aż nareszcie w skutek denonciacyi nikczemnika Chibot'a, został skazany na śmierć Wtedy szukał schronienia w Paryżu i znalazł go u pani Verney, która zasłużyła aby nazwisko jej przeszło do potomności. Co chwila wyglądając śmierci, czas jakiś miał myśl napisać usprawiedliwiający go pamiętnik, ale zaniechał tego zamiaru; powiedział sobie że żył i cierpiał dla wolności, że dzieła jego nie wstąpią z nim do grobu, a potomność sama wymierzy mu sprawiedliwość. Przysiągł sobie napisać dzieło w którem przekazać miał światu myśli mistrza swego Turgot'a, i skreślić obraz postępu umysłu ludzkiego. Zagrożony utratą życia, nie mając potrzebnych materyałów, gorączkową dłonią skreślił swój, *Esquisse*, szkic do obrazu postępu rozumu ludzkiego wktórem jednoczą się myśli jego i Turgot'a, a które pomimo znakomitej wartości zbyt mało dziś jest znane i czytane.

Wykazawszy stopniowe udoskonalanie się rodzaju ludzkiego w ostatnim rozdziale, rozpatruje przyszłe postępy jego umysłu i tułacz na śmierć skazany, z filozoficznym spokojem wskazuje środki poprawienia doli człowieka. Dziś, znakomity mąż ten prawie został zapomniany, a jednak jeszcze w 1793 r. przedstawiał, że jedną z głównych plag tego świata jest brak równości.

Uważał on że głównym powodem nierówności dzielącej ludzi, jest nierówność bogactwa, nierówność stanowiska i nierówność ukształcenia. Nierówność bogactwa uważał za fenomen naturalny, któremu jednak można ciaśniejsze zaznaczyć granice. Ubolewał że prawo uświęca i sprzyja nierówności, i dowodził że prawo starszeństwa, substytucye, monopole, ażiotarstwo, są to wszystko wymysły ludzkie, utrudniające rozwój i powodzenie pracy, oraz ciężkie, zadanie ludzi, pragnących wznosić się coraz wyżej. Gdyby te prawa nierówności nie istniały, gdyby praca była łatwiejszą, własność dostępniejszą, wtedy nastąpiłoby pewne zrównoważenie w bogactwie stopniowo możnaby dojść do usunięcia dwóch krańcowych ostateczności, bezmiernego bogactwa i bezmiernej nędzy.

Za nierówność stanowiska uważa to, co my nazywamy nierównością punktu wyjścia. Dziś, każdy widzi, że człowiek którego całem bogactwem ręce, przy najszczerszej chęci, i choćby nawet był ukształconym, napotyka co krok ciężkie, często niezwalczone trudności na drodze wyniesienia się, a jeśli zachoruje lub umrze, zostawia wdowę i dzieci bez sposobu do życia, na łasce publicznego miłosierdzia. Nam się dziś zdaje że to zadania które myśmy dopiero wynaleźli, a jednak Condorcet myślał o nich już przed tylu laty, i wtedy już podawał te właśnie środki, o jakich dziś tak głośno mówią, ubezpieczenia na życie i zakłady kredytowe. Najwięcej jednak ubolewał nad nierównością oświaty publicznej; czuł że tu właśnieześrodkowywa się wielkie zadanie demokracyi, zadanie które dziś oniemal rozwiązała już Ameryka. Widział dobrze, że dopókąd będą na świecie ludzie niezdolni, odróżnić prawdy od fałszu, znajdą się zawsze oszuści i liczne ich ofiary, i rozmyślał czy jest możebnem tak podnieść oświatę narodu, aby każda jednostka znała przynajmniej główne prawdy moralne i polityczne, i tym sposobem sama władała swoim losem. Trzy są rodzaje szarlatanów na świecie, mówi filozof. Jedni chcą nas zbogacić, drudzy leczyć, trzeci zbawić ode złego; pierwsi zabierają nam pieniądze, drudzy pozbawiają zdrowia, a trzeci wolności."

Condorcet był przekonany, i dziś Stany Zjednoczone dowodzą że miał słuszność, iż byle cały naród szczerze zajął się rozkrzewieniem oświaty i w ten sposób się urządzał iżby budżet oświecenia publicznego miał pierwszeństwo i przewyższał budżet wojny, i byle cała społeczność wedle sił i możności popierała te dążenia, możnaby było rozwiązać to tak trudne na pozór zadanie, i dojść do tego żeby nie było ani oszustów, ani oszukiwanych, i każdy czułby się i był równym obywatelem kraju.

Właśnie kiedy wykończał to dzieło, wpadło mu w ręce prawo o podejrzanych z 1794 r. Od ośmiu już miesięcy ukrywał się u pani Verney, a ta dowiaduje się iż każdy przechowujący skazanych, podlegał karze śmierci; chciał natychmiast dom jej opuścić, a gdy go zatrzymywała odparł.

— Muszę się oddalić, jestem wyjęty z pod prawa.

— Ale ja nie jestem wyzuta z litości i sumienia, i dla tego nie puszczę cię, odpowiedziała.

Jednak Condorcet nie chcąc jej narażać, przy pierwszej sposobności wymknął się niepostrzeżony.

Miał na sobie nędzne ubranie i starą, zniszczoną czapkę; udał się na wieś do pewnego dawnego przyjaciela, na nieszczęście nie znalazł go w domu. Czas jakiś ukrywał się w kopalni kamieni, nareszcie trawiony głodem wszedł do oberży w Clamart, żądając aby mu zrobiono jajecznicę.

Był wynędzniony, obdarty, długa broda w bezładzie spadała na piersi;—gospodyni spojrzawszy nań zapytała kto jéj zapłaci; wtedy wyjął z kieszeni pugilares i pokazał jéj assygnaty. Po pugilaresie poznała, że nie był wieśniakiem, dała znać o tem i został pojmany. Odstawiono go do Bourg-la-Reine i zamknięto w domu merostwa – nazajutrz już nie żył. Lomenie de Brienne były minister, podzielił się z nim trucizną.

Daléj z kolei dwa wymowne pióra pisały o postępie: pani de Staël i Benjamin Constant. Oboje podzielali przekonania Condorcet'a, że tylko oświata i wolność mogą popchnąć świat drogą postępu, i woleli pójść na wygnanie, niż zaprzeć się zasad swoich. Każdy Francuz miłujący kraj swój i wolność, zawsze z największą czcią wymawiać będzie nazwisko pani de Staël, téj prawdziwéj orędowniczki postępu.

Turgot, Condorcet, pani de Staël i Benjamin Constant byli zwiastunami i wielbicielami postępu.

Człowiek nie może udoskonalać się działaniem zewnętrznem, udoskonalenie musi wynikać z duszy i serca każdéj jednostki; wszelkie władze fizyczne, umysłowe i moralne mogą rozwijać się tylko dzięki usiłowaniom własnéj wolnéj woli. Udoskonalać się, jest to wyrabiać w sobie wszelkie siły i potęgi, jakie Bóg w nas złożył; postęp społeczeństwa zależy od postępu jednostek. Społeczeństwo nie może postępować, jeśli składające go jednostki pozostają zacofane, bo ono nie jest niczem więcéj jak zgromadzeniem jednostek. Każdy zatem obywatel może przyczyniać się do postępu swego kraju.

Ta teorya postępu, ma jeszcze przeciwników, tem więcéj zasługujących na uwagę, że po części mają za sobą prawdę, tylko że zbyt jednostronną. Zapominając, że w tym razie prawda trzy przedstawia strony, widzą tylko jedną: postęp materyalny, i wołają: zwiększając bogactwa, zwiększacie zarazem zepsucie; zbytek który tyle państw przywiódł do zguby, zgubi społeczeństwa. Trudno nie przyznać, że mają słuszność: zbytek i rozwiązłość zgubiły wiele społeczeństw, ale jestże to winą bogactwa?

Co to jest zbytek? Wiele i wiele możnaby dać odpowiedzi, ale najtrafniejszem, zdaje się, będzie krótkie to określenie: zbytek jest to samolubne nadużycie bogactwa. I tak, donosiły gazety, że gdy sławna panna Patti, pierwszy raz występowała na pewnéj scenie, młodzież wyższych sfer towarzyskich rzucała jéj pod stopy bukiety z kamelji, które licząc po 4 franki za sztukę, miały stanowić wartość 5,000 rs. Zapewnie, nic w tem złego, że ktoś oddaje cześć sztuce, zwłaszcza przedstawionéj przez tak znakomitą artystkę, ale czyż nie lepiéj byłoby objawiać zapał przez oklaski i brawa, niż tak znaczną stosunkowo summę, marnować na bukiety, których życie tak krótkie? Może ktoś powie, że tym sposobem popiera się uprawę kwiatów, na to odpowiemy, że pierwéj należałoby popierać uprawę umysłów, których miljony leży odłogiem.

Nastawanie na bogactwo jest wynikiem nienawiści, jaką zbytek budzi w ogóle, będącej także główném źródłem wszelkich napaści na własność, które nigdy i niczem usprawiedliwić się nie dadzą.

Iluż to dziś pseudo-ekonomistów wygłasza: że bogacze są powodem nędzy biedaków, lecz jestże to prawdą, że to bogactwo jest źródłem wszystkich naszych nieszczęść? Chcą aby wcale właścicieli nie było na świecie, i wyobrażają sobie, że wtedy wszyscy obywatele kraju byliby bogaci i szczęśliwi. Jakże to niedorzeczna mrzonka! Prawdziwi ekonomiści pragną ogólnego dobrobytu, ale zarazem szanują prawa wszystkich; chcą zwiększyć i rozpowszechnić bogactwo, nie obdzieraniem tych co już coś posiadają, ale wytwarzaniem nowych bogactw i rozkrzewianiem oświaty. A możnaż dokazać tego bez pieniędzy, możnaż bez nich ustalić i ułatwić kredyt. Niestety! te przeklęte pieniądze są źródłem i nerwem wszelkiego ruchu;—znieść bogactwo, jest to obnażyć świat cały.

Inni znowu, powstają przeciw postępowi umysłowemu, dowodząc: chcecie oświecać lud, a nie widzicie, że tą półoświatą przywodzicie go do zguby. Możnaby z tego wnosić, że zupełna ciemnota nadaje przywilej wszechwiedzy i cnót wszelkich. Zapominają pięknych słów Mirabeau: „wy którzy pragniecie trzymać lud w ciemnocie, nie zapominajcie że sobie samym gotujecie zgubę, nie zapominajcie że nic łatwiejszego. jak zmienić głupie bydlę, w drapieżne zwierzę.“

Bo i cóż wart człowiek ciemny, nieznający prawdy? Możnaż przypuszczać, że jakiś ślepy instynkt wystarczy człowiekowi, i im ślepszy tem lepiej poprowadzi po drodze życia? I cóż to jest oświata, jeśli nie rozjaśnienie wzroku, aby wszystko w prawdziwem widzieć świetle? A jednak są tacy co poważają się wołać: wyłupcie sobie oczy, a zobaczycie jak jasno będziecie patrzeć...

Teraz z kolei przejdźmy do zarzutów przeciw postępowi moralnemu. Nieraz dają się słyszeć zdania: wolę aby syn mój był uczciwym człowiekiem, niżeli uczonym, znałem tego lub owego, był wysoko wykształcony a jednak złą poszedł drogą. Czyliż w miarę rozszerzania wiedzy sumienie się ścieśnia? Ileż to osób mniema, że dość poradzić się sumienia, aby niemylną odebrać odpowiedź. Wprawdzie sumienie mówi nam: „czyń lub nie czyń tego—ale sumienie nie oświecone może często bardzo złą podawać radę. Sumienie nie jest nauką ani znajomością rzeczy. Zdarzało się, że najuczciwsi ludzie w zgodzie z własnem sumieniem, największe popełniali zbrodnie skutkiem braku oświaty. Wszelkie wojny religijne prowadzone były przez ludzi przekonanych, że w imię prawdy mają prawo mordować bliźnich, i że wypełniali święty obowiązek nakazany przez Ewangelję. Sumienie utrzymywało ich w tem przekonaniu, bo sumienie ich nie było oświecone. Powiadają, że gdy Jan Huss szedł na śmierć, widział jak kobiecina jakaś dźwigała pęk łuczywa, aby go dorzucić do stosu, na którym miał być spalonym, i ona także szła za natchnieniem ciemnoty sumienia. Jan Huss przebaczył jéj w duszy, i wznosząc oczy w niebo; zawołał: *O sancta simplicitas!* Kobieta ta mogła być najuczciwszą, najświętobliwszą, ale jeśli prostaczkowie najnieokrzesańsi mogą zostać świętymi, za to ciemnota nigdy nie może być świętą, i wszelkimi sposobami wytępiać ją potrzeba.

Do liczby obrońców postępu, należy jeszcze zaliczyć Saint-Simon'a, który zasadę jego nadzwyczaj upowszechnił, on to napisał, że: Nie po za nami, ale przed nami szukać należy owego wieku złotego, który błędne mniemanie odnosi do początku świata. Nie był on jednak twórcą téj doktryny, zanim ją napisał, już obiegała po świecie.

Od lat trzydziestu doktryna postępu tak wielkim naprzód posunęła się krokiem, że dziś pozostaje jéj

już tylko zwalczyć błąd, według którego postęp uważany jest za nieodzowne prawo. Według tego twierdzenia należałoby uważać postęp. jakby pociąg na kolei żelaznéj. Tam każdy siedząc w swoim wagonie, robi co mu się podoba, jeden gra, drugi czyta, trzeci myśli, inni nareszcie nic nie robią i nic nie myślą, a jednak wszyscy i wszystko posuwa się i leci ku jednemu, wspólnemu przeznaczeniu. W życiu inaczéj się dzieje; nie ma siły coby nas pchała i ciągnęła, a postęp wtedy tylko jest możliwy jeśli go sami dokonamy. Nie świat, ale my się zmieniamy.

---

# DEPOZYT

## POWIEŚĆ

PRZEZ

**WALERJĄ MARRENÉ.**

(*Dalszy ciąg*).

Tak długą noc zimową przesiedział samotny w ciemnościach, walcząc z myślami i sercem własnem, gmach życia świeżo wzniesiony walił mu się na głowę, czuł że powinien to przecierpieć, i niezmordowanie podnosić z gruzów przyszłość swoją. Dnia tego nie pomyślał o spoczynku, położenie jego było trudnem, a chciał stanąć na jego wysokości.

Gdy promienie świtu ukazały się na wschodzie, rozpoczął jak zwykle swój dzień pracowity, w prawdzie twarz jego była bladą, ale malowało się na niej harde, niezachwiane postanowienie.

Jednak zaledwie noc minęła ciężkie kroki dały się słyszeć na wschodach, a do pokoju wszedł Pliszka. Hieronim nie spodziewał się tych odwiedzin, pierwszą myślą jego było, że cieśla odkrył gdzie wczoraj była jego córka, i przychodził mu to oznajmić, jednak spojrzawszy na niego odkrył płonność tego domysłu, był on wprawdzie smutny i pomieszany, ale głowa jego nie schylała się pod brzemieniem nieszczęścia. Hieronim postąpił ku niemu.

— Cóż się to stało? zapytał niespokojnie.

— Co się stało? powtórzył Pliszka, ot nic, radziliśmy, układali, a tymczasem...

Słysząc ten wstęp Hieronim zadrżał.

— I cóż? szepnął tylko.

— A tymczasem, dziewczyna moja oszalała zapewne... ona nie chce słyszeć o tem małżeństwie.

Cieśla wymówił to z trudnością, spoglądając na Hieronima jakby go się lękał obrazić.

W trudnem położeniu w jakiem się znajdował młody człowiek, wieść ta przedstawiała mu niespodziewane wyjście.

— Jakto, zawołał, panna Józefa mnie odrzuca?

W duchu jego budził się szacunek i litość dla biednej istoty, która może wpadła w przepaść, ciągniona przez nierozsądne serce. Pliszka jednak mylił się na znaczeniu tego słowa.

— A tak, odrzekł ponuro, ja przecież zmusić jéj nie mogę.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Źle uczyniłem, zaczął znowu Hieronim, iż nie zapytałem się o uczucia panny Józefy, sądziłem jednak że lepiej zrobię zyskując wprzódy pańskie zezwolenie.

— Bo i któż mógł się spodziewać, pochwycił rzemieślnik.

— Powinienem się był spodziewać, odparł po chwili namysłu młody człowiek, bo czemże zyskać mogłem przychylność pańskiej córki, jestem dla niej za poważnym, zapewne za nudnym, a jednak... pragnąłem jéj szczęścia.

— Albożja o tem wątpię? niepojmuję doprawdy co stało się Józi.

Zachmurzył się potem, dodał niby sam do siebie.

— Muszę ja ją dobrze mieć na oku.

Jednak energia jego, zdawała się złamaną, siedział nieruchomy, z obwisłemi rękoma, ten ostatni cios był mu widać dotkliwym, jak owa kropla wody co czarę przepełnia.

— Panie Pliszka, zawołał Hieronim, zbliżając się do niego, zostaw to mnie, wszak mi ufasz, wszak jeśli nie zostanę zięciem twoim, będę zawsze przyjacielem.

Cieśla uśmiechnął się z goryczą.

— Dziwny z pana człowiek, odparł, po co przywiązujesz się do mnie, albożnie widzisz że mnie ściga nieszczęście, a nieszczęście jest zaraźliwem. Daremnie uciekałem przed niem w świat daleki, ono włóczyło się za mną, ścigało zawsze i wszędzie, walczyłem wytrwale, przecież w końcu uledz mi przyjdzie, i położyć gdzie pod obcą ścianą skołataną głowę... ha darmo...

Mówił to z przerwami, głowa jego zwisła na piersi siwiejące włosy spadały na czoło, nadając mu jakieś piętro opuszczenia.

— Zkądże tak smutne słowa, wyrzekł Hieronim chcąc przerwać bieg myśli jego.

Ale Pliszka ciągnął dalej.

— Dola moja gorzką była od kolebki, matki nie pamiętam, a ojciec? Kto znał Grzegorza Pliszkę ten wie, że on był twardym; twardym jak kamień dla wszystkich, ja nie stanowiłem wyjątku, z małości skąpił mi chleba, potem nauki, pomocy. Słyszałem w około że mój ojciec bogaty, a ja byłem nędzarzem. Nikt nie wskazał mi drogi mojej; nikt nie dał rady żadnej, trochę z miłosierdzia ludzkiego, trochę z przeczucia, nauczyłem się czytać i pisać. Jako dziecko wałęsałem się po ulicach głodny, odarty, zazdroszcząc tym co mieli silne ręce, mogli zapracować na siebie. Ja niczego nie pragnąłem tylko rąk silnych, godziny całe przypatrywałem się ludziom co ich używać umieli. Gdy podrosłem, porzuciłem ojca, który o mnie nie dbał, i przystałem do cieśli, aż powoli poduczyłem się jego rzemiosła. Ale były to ciężkie czasy, tak jak teraz, roboty brakowało; właśnie poznałem moją Marjannę—kochałem ją. I gdy wymawiał te słowa, oczy jego zaświeciły dawnym blaskiem, samo wspomnienie tego uczucia przynosiło mu odżywczą siłę młodości.

Byliśmy oboje sieroty, ciągnął dalej, ubodzy, a roboty brakowało. Wówczas poszedłem do ojca, pierwszy raz w życiu błagałem go o pomoc—daremnie. Zrozpaczony wyszedłem za granicę, tam znalazłem robotę szło mi coraz lepiej, mogłem się ożenić. W Gdańsku gdzie pracowałem przy okrętach, nasłuchałem się cudów o Nowym Świecie, mówiono że tam każdy człowiek dobrej woli znajdzie chleba do syta. Nie wiązało mnie tutaj nic, pragnąłem się dostać za morze ale podróż drogo kosztuje, byłem z żoną w Gdańsku ztamtąd dostałem się do Bremen, mnóstwo okrętów odpływało do Ameryki, niektóre pełne wychodzców, ludzi biednych jak ja, uciekających przed nędzą, ja byłem biedniejszym niż oni, nie miałem czem zapłacić przeprawy, aż wreszcie nadarzyła mi się sposobność, byłem dobrym cieślą, potrzebowano mnie na okręcie i zabrano darmo; odpływając napisałem do ojca, że nigdy o mnie więcej nie usłyszy, dotrzymałem słowa. Przekonałem się, że świat nowy nie wiele się różni od starego, tu i tam ciężko o kawałek chleba, przecież dostałem robotę i praca moja wystarczała na potrzeby rodziny. Marjanna moja była wówczas zdrową pomagała mi zarabiać na siebie i dzieci, lata mijały. Miałem maleńki wprawdzie ale własny domek, byłem szczęśliwy, a przecież czasem o słońca zachodzie, gdy powracałem z codziennej pracy, przychodził mi na myśl kraj rodzinny, widziałem szarą Wisłę, toczącą zwolna swe zmącone nurty, wśród zielonych brzegów, widziałem te góry zwieszające się nad nią, gdzie dzieckiem bawiłem się tyle razy, w uszach dźwięczały mi wesołe nuty krakowiaków i mazurów, przykrzyło mi się coraz bardziej pośród obcych ludzi. Nieraz mówiłem Marjannie, tam teraz idą do Czerniakowa, na Bielany, puszczają wianki na Wisłę, i myślałem o tem dzień i noc tylko—padła na mnie tęsknota, jakby mnie kto urzekł, choć tam i co pięknego było koło mnie, nie widziałem nic. Przecież tam także byli Polacy, jeden z nich dał mi raz gazetę z naszego kraju, w której była opisana śmierć mego ojca, pisano tam że Grzegorz Pliszka umarł z nędzy, a zostawił wielkie skarby, zdawało się że skarby te powinny do mnie należeć. I odkąd to przeczytałem nie miałem już spokoju, musiałem rzucić wszystko i powracać. Po co? ile razy zapytywałem o to samego siebie.

Pliszka umilkł, w krótkich, zwięzłych słowach jego opowiadania, dźwięczało tysiące uczuć niewymówionych, znać było, że człowiek ten nie umiał myśli swych ubierać w wyrazy, ale to co mówił było prawdą tylko. Chwilę jeszcze pozostał zatopionym we wspomnieniach, potem przesunął ręką po czole.

— Ot rozgadałem się niepotrzebnie, wyrzekł powstając, co było nie powróci, co się stało nie odstanie, tylko widzisz pan, nie wiodło mi się przez całe życie, taka dola.

Scisnął rękę Hieronima, i wyszedł do codziennej pracy, potrzeba powszedniego chleba ciężyła nad nim, oddalił się gwiżdżąc przez zęby jakąś nieokreśloną nutę.

Dzień już był zupełny, Hieronim stanął w oknie i oparł pałające czoło o szybę, przepaście bólu i nędzy otwierały się przed jego oczyma, czyż nie było mu danem tej jednej rodziny przynajmniej uratować od grożącego nieszczęścia, dotąd dobre chęci jego obracały się przeciwnie, jemu także wszystko szło na opak. Stał tak zgubiony w myślach spoglądając na dziedziniec, aż ujrzał wychodzącą Józię, zapewne czekała na to, bo nietracąc czasu zeszedł za nią.

Dziewczyna szła lekkim krokiem po zmarzniętej ziemi, twarz jej była ożywiona, a oczy miały to rozmarzenie i miękkość spojrzenia, jakie kobietom nadaje miłość, była szczęśliwą, swobodną, uśmiech igrał na jej różowych ustach. Przechodząc przez dziedziniec, rzuciła okiem na okna pierwszego piętra tam story były zapuszczone starannie, na ten widok mimowolne westchnienie podniosło pierś dziewczęcia, ale nie było to westchnienie bólu, przeciwnie jakiś płomień zamigotał w jej źrenicach, i szła dalej nie oglądając się, nie podnosząc wzroku na przechodniów, jakby zajmowała ją tylko myśl jedna.

Hieronim szedł za nią czas jakiś, Józia przeciw zwyczajowi nie zatrzymała się przed żadnym sklepem i ani razu nie odwróciła głowy, więc po niejakim czasie sam zbliżył się do niej.

— Dzień dobry, panno Józefo, wyrzekł równając krok swój z jej krokiem.

Słysząc wymówione swoje imię, dziewczyna drgnę-

ła i zobaczywszy kto ją zaczepiał, zmięszała się widocznie.

— A pan Hieronim, odparła po chwili, dając mu poznać głosem i wyrazem twarzy, niezadowolnienie swoje z tego spotkania, tak rano.

Młody człowiek popatrzył na nią przez chwilę z widocznym smutkiem.

— Wyszedłem umyślnie tak wcześnie, by się z panią spotkać.

Zmarszczyła ciemne brwi.

— To zupełnie niepotrzebnie, odparła, ja domyślam się co mi pan masz powiedzieć.

— Wątpię o tem bardzo, wyrzekł poważnie, mylisz sie panno Józefo, nie przyszedłem mówić ci o sobie, tylko o tobie samej.

Zmieszała się bardziej jeszcze, i obejrzała w około, jakby szukając sposobu przerwania téj rozmowy, niepokojącej ją coraz bardziej, Hieronim jednak posiadał tę łagodną siłę, której oprzeć się niepodobna, więc słuchała go wlepiając w niego niepewne oczy.

— Dziwisz się pani, zapewne, mówił dalej, dla czego wybieram ulicę do podobnej rozmowy, potrzebowałem zobaczyć się z tobą samą, więc musiałem tak uczynić.

W téj chwili zakręcali właśnie na plac zamkowy.

— Mam ci wiele rzeczy powiedzieć panno Józefo, dodał łagodnie, chodźmy dalej, tam będziemy swobodniejsi.

I powiódł ją na Zjazd, o tej porze miejsce to było puste prawie, rzadcy przechodnie, mijali się zdaleka po szerokich chodnikach, zimny wiatr wiał od Wisły, ale oni nie zważali na to, Józia dała powodować sobą, czuła w jego głosie i obejściu coś niezwykłego, szli czas jakiś w milczeniu.

— Panno Józefo, wyrzekł wreszcie Hieronim, a głos jego był prawie szeptem, jak gdyby lękał się być podsłuchanym przez jakieś echa zdradliwe, ja wiem gdzie byłaś wczoraj wieczór.

Na te proste słowa dziewczyna stanęła jak wryta, płomień uderzył jej na twarz i zeszedł natychmiast, zostawiając ją bladą śmiertelnie, długie powieki spuściły się na oczy i drgały łzami wstydu i trwogi, a przecież gdyby wówczas spojrzała na towarzysza swego, byłaby dojrzała w nim tylko nieskończoną litość.

Milczała, nie mogąc zdobyć się na słowo żadne.

— Uspokój się pani, wyrzekł po długiej chwili, powinnaś znać mnie dość by wiedzieć, że nie nadużyję twojej tajemnicy, rozumiesz teraz zapewne, dla czego wybrałem to miejsce i godzinę na rozmowę, którą mieć musimy.

Przez ten czas przyszła trochę do siebie.

— Po cóż mieszasz się pan do mnie? szepnęła, wszak ja pana nie powinnam obchodzić.

— Przeciwnie, odparł.

Zwróciła na niego zdziwione oczy, Hieronim zrozumiał ją zapewne, bo odparł łagodnie.

— Porozumiejmy się co do znaczenia wyrazów, ja wiem że nie ma dla mnie miejsca w twojem sercu, ale to nie odejmuje mi prawa zająć się twoim losem panno Józefo i dać ci radę, której nikt inny dać ci nie może. Postąpiłaś ze mną szczerze, więc ja wzajem szczery z tobą będę.

Słuchała tego wszystkiego nieporuszona, nie śmiała mu przerywać, przeczucie ostrzegało ją, że w tej jego szczerości, była dla niej boleść, ona znajdowała się w tej fazie upojenia, co nie zostawia miejsca rozumowaniu, zresztą nikt nie nauczył ją myśleć porządnie, zastanawiać się i sądzić samą siebie, szła dotąd zawsze za instynktem, za popędem chwili.

— Więc cóż mi pan masz powiedzieć? zapytała wreszcie.

— Wiele bardzo rzeczy, tylko chciałbym byś pani wprzódy uwierzyła, że jestem przyjacielem twoim.

Spojrzała w oczy jego, jakby tam zbadać chciała prawdę tych słów, ale spotkała tak głęboko smutne źrenice, że odwróciła wzrok mimowolnie.

— Wierzę panu, odparła cicho.

— Nie kieruje mną, mówił dalej Hieronim, żadne osobiste uczucie, od wczoraj zrzekłem się nadziei wierzysz temu panno Józefo.

— Wierzę, powtórzyła machinalnie, choć myśli jej się mąciły, dotąd w życiu tak mało spotkała bezinteresownych uczuć, iż to co on jej mówił, było dla niej wielką nowością.

I znowu była chwila ciszy.

— Ja znam Ignasia Kalińskiego, wyrzekł wreszcie...

Zadrżała jakby dotknął palcem świeżej rany.

— Wiem o tem, szepnęła.

— Znam go dobrze, czy sądzisz pani, że on ciebie kocha?

Chciała coś mówić, on nie dał jej na to czasu.

— Przysięgał ci miłość, domyślam się tego, przysięgał coś tylko chciała, kto wie, może nawet obiecywał się żenić, czy byłaś pani tak łatwowierną by to brać za prawdę?

— Nie, nie, zawołała Józia, zdradzając tym sposobem prawdę słów jego, on nie kłamał!

— On nie kłamał? powtórzył Hieronim z goryczą nie, to nie było kłamstwem nawet, bo on nie pomyślał o tem, byś mu wierzyła, były to konwencyonalne frazesa, zwykłe w podobnych razach, których nie bierze na seryo ani ten co je wymawia, ani ta do której są zwrócone.

Słuchała go przerażona, było tyle oburzenia w jego głosie i słowach, iż w myśli jej otwierały się przepaście.

— To być nie może: szepnęła po chwili, chwytając ręce jego machinalnie, powiedz mi pan że to być nie może.

Wstrząsnął głową z nieujętym wyrazem.

— Powtarzam ci że tak jest panno Józefo. wyrzekł stanowczo.

Rozumiał iż nie czas było ją oszczędzać, ona musiała przecierpieć to wszystko, im prędzej tem lepiej. Józia spoglądała czas jakiś przed siebie, ponura, osłupiała, stała wsparta o balustradę, oddzielającą ją od nizkich ulic ciągnących się poniżej zjazdu, może przychodziła jej pokusa, rzucić się na ich bruk i uciec przed tą straszną rzeczywistością, jakim bądź sposobem choćby na łono śmierci.

On przestraszył się tego wzroku.

— Czyż być może, szepnął, byś go pokochała tak nagle, tak gwałtownie?

Nie znał, ani był w stanie pojąć, niekonsekwencyi dziewiczych uczuć, nie zdał sobie nigdy sprawy z wewnętrznej istoty tej dziewczyny, którą zamierzył poślubić. Błąd ten zdarza się aż nadto często w życiu myślących ludzi, wyobrażał sobie że jej umysł serce to biała kar ta jeszcze, którą on zapełni jak, zechce, dla jego wyrobionych zasad. Było to rzeczą tak prostą, iż nie przypuszczał nawet, by ona dla kogo bądź mogła być niepojętą, nie był w stanie nawet wyobrazić sobie chaosu, jakim owe białe w jego mniemaniu karty zapełnione były. Chorobliwe żądze płonęły w jego duchu, niestety było tam wszystko to, co on lękał się znaleść w kobietach swojego świata, spotęgowane jeszcze nieświadomością i siłą pragnień, nigdy niczem nienasyconych.

Józia nie odpowiedziała mu, słyszała może co mówił, spoglądała w dół sztywno, jakby wzrok jej tam przyrósł. Hieronim wziął jej rękę i odwrócił ją od tego widoku, dała zupełnie powodować sobą.

— Chodźmy ztąd, wyrzekł, chcąc pociągnąć ją napowrót do miasta.

To nadało inny kierunek jej myślom, zbudziła się jakby ze snu, popatrzyła przez chwilę na mury miasta wznoszące się przed nią, potem spojrzała znowu na młodego człowieka, pierwsza chwila osłupienia minęła, złudzenia jej powróciły z nową mocą. Była tak szczęśliwą dziś rano jeszcze, cóż się zmieniło? Jakim prawem dotknięto się jej szczęścia, jak mógł go zniweczyć? To wszystko przeszło przez jej głowę błyskawicą i podniosła na Hieronima płonące oczy.

— Dla czego pan mi to wszystko mówisz, dla czego ja pana słucham? To nieprawda, nie!

Była za nadto nierozsądną, by go mogła obrazić, czuł tylko niepodobieństwo zwalczenia jej złudzeń. Wszystko co powiedział dotąd było daremnem, stał na tym samym punkcie co przed godziną.

— Panno Józefo, odparł smutnie, sądziłem żeś mnie zrozumiała.

(d. c. n.)

---

## Przegląd teatralny.

Występy p. Bolesława Leszczyńskiego: w **Zbójcach** Szyllera i w piątym akcie **Otella**, Szekspira.

Od dawnego już czasu słyszymy ubolewania nad tem że scena nasza nie posiada *bohaterskiego* kochanka, odpowiadającego poniekąd operowemu *tenore di forza*. Nie ubliżając p. Tatarkiewiczowi, który w wielu rodzajach ról i w wielu charakterach mniejszego naprężenia sił wymagających, jest kochankiem wcale przyzwoitym i ze wszech miar odpowiednim, ubolewania powyższe są uzasadnione; raz, że scena takiej rozległości jak nasza nie może się ograniczyć na jednem indywiduum; powtóre, że natura talentu, a nawet fizyczności p. Tatarkiewicza. skłaniająca się więcej do charakterów komedii wyższej i do dramatu spokojniejszych form, mniej się szczęśliwie nagina tam gdzie panują wielkie wzburzenia namiętnościowe.

Obecne występy p. Bolesława Leszczyńskiego przekonały nas że scena nasza może znaleść w nim to pożądane uzupełnienie, o ile repertuar swój zechce działami tragicznego nastroju uzupełniać.

Widzieliśmy już tu przed kilku laty p. Leszczyńskiego w *Zbójcach*, w tej roli Karola, częścią gwałtownej, częścią czułej. Wtedy to już znać było, iż artysta ten czuje zadanie swoje i z wiedzą dąży do jego spełnienia. Ale było to pierwsze dopiero obrobienie granitu na posąg, który miał być przedstawionym. Należało wiele dać jeszcze delikatnych cięć dlutem ażeby wydobyć całą ekspressyję figury. Dzisiaj poznikało wiele tych chrapowatych kantów, wyjaśniły się miejsca zaciemnione, i postać Karola więcej się uwyraźniła, szlachetniejszym giestem, umiarkowańszym ruchem, modulacyą głosu umiejętniejszą i bardziej do sytuacyi zastosowaną.

Nie chcemy przez to powiedzieć żeby p. Leszczyński osiągnął szczyt doskonałości w pochwyceniu tej roli, doskonałość wreszcie jest rzeczą względną, przymiotem niewielu wybranych. My powiadamy tylko że zobaczyliśmy postęp, że p. Leszczyński uniknął hałaśliwości i wrzasku w sytuacyach gwałtownych, a zyskał bardzo wiele na jednym elemencie, nieodbicie kochankowi potrzebnym, to jest na miękkości w sytuacyach czułych. Jest to zatem postęp, a więc

p. Leszczyński zdolnym jest do postępu; jak daleko go dopro wadzi, to już nie nasza rzecz.

Nie chodzi nam o doskonałość bezwzględną ale o jedność w grze. Owóż, pod względem tej jedności rola Karola w Zbójcach zyskała wiele; tyle przynajmniej, że widz mógł sobie zdać sam sprawę z tego, kim jest ten entuzyasta Karol, i sympatyzować z nim.

Rola *Otella* w dramacie Szekspira, jest to coś olbrzymiego: nasuwa nam ona zaraz takie nazwiska jak: Devrient, Dawison, Ira-Aldrige; to popis dla genjuszów scenicznych, mających sobie za chlubę odtworzyć czynem arcydzieło myśli genjalnego twórcy. W takiem to dziele sprobował sił swoich p. Leszczyński przeszłej soboty, i z góry powiedzmy, że zdaniem naszem, z prośby tej wyszedł zwycięzko.

Będziemy może zdaniem tem w sprzeczności z pewną przynajmniej częścią publiki, która w wielu miejscach uśmiechała się tu i owdzie o ile szeptaniem i rozmowami nie przeszkadzała uważać drugim czyli że dla niej gra p. Leszczyńskiego w niektórych razach zamiast tragicznego wywoływała wrażenie komiczne. Ale to nic dziwnego. Publika ta zanadto nawykła widzieć kochanków w sztukach Sardou i Dumasa, kochanków gładkich i utrefionych, wymustrowanych przez samego już autora według salonowego, paryzkiego szyku. Sama będąc szykiem i wszystko sądząc według konwencyonalnego szyku, zna się tylko na tem co wchodzi w jego granice:—natura jest dla niej rzeczą obcą. Tymczasem Otello Szekspira nic a nic się na szyku nie zna. Nie jest to murzyn wykrojony przez sentymentalny patron francuskiego autora: to dziki syn skwarnych stref środkowej Afryki, ogładzony nieco zetknięciem się z kulturą europejską, ale we wnętrzu swem kipiący żarem krwi południowej, namiętnością zwierzęcą. Takim pojął go Szekspir, który umiał odgadywać żyjącą naturę, tak jak umiał wskrzeszać umarłych w historyi; i takim miał go nasz artysta przedstawić.

Ponieważ nie widzieliśmy go w całym utworze, ale tylko w ostatnim akcie, nie możemy powiedzieć jak p. Leszczyński pojął Otella w całości.

Lecz piąty akt jest jego sądem ostatecznym; chwilą, w której szalona zazdrość opanowała całem jego jestestwem i wyrugowała wszelkie inne uczucia, do tego stopnia, że podaje mu nóż w rękę przeciw tyle ukochanej istocie. W takiéj chwili gdy namiętność jest tak silną, że łaknie krwi jak zgorączkowany człowiek napoju, chociaż wie, że po dokonaniu krwawego czynu nie pozostanie jéj na świecie nic, tylko pustka śmiertelna i rozpacz;—w takiej chwili człowiek budzi się w najgłębszéj i najtajniejszéj naturze swéj, to człowiek pijany, który nie ma przytomności tyle aby ukrył to czego dla jakichbądź względów światowych po trzeźwemu wyjawiać nie chce.

Takim też jest tu Otello. Nie myśli on o swem admiralskiem dostojeństwie, o godności swego powołania w jednem z najpierwszych państw Europy; jest sam jeden, bez świadków, ze śpiącą tylko żoną, którą ma zabić. Obleciało zeń wszelkie decorum: w rozhukanem roznamiętnieniu pozostało w nim tylko, że tak powiem, zwierzę dzikie, zranione dokuczliwie, które rzuca się na raniącego je nieprzyjaciela, jak postrzelony lew na myśliwca.

Ztąd też wynikły te nierówne a popędliwe ruchy, te dzikie podskoki zwierzęcia obiegającego około swéj ofiary, te dziwne chrypienia w głosie właściwe afrykańskim ludnościom,—których p. Leszczyński uznał za właściwe użyć, które my zupełnie aprobujemy, a które w dobry humor wprawiały pewną część publiczności. Nic nie było łatwiejszego jak uczynić Otella statystą nieposzlakowanéj przyzwoitości w ruchach i dykcyi, ale ten Otello byłby sobie w takim razie bezbarwnym mieszczaninem z poczernioną twarzą. Otellem z opery, nie zaś murzynem jakim go stworzyła natura i Szekspir.

Jesteśmy zupełnie za takiem pojęciem kolorytu jaki p. Leszczyński nadał swéj kreacyi. Artysta potrafił wlać w postać tę odpowiednią grozę, w rzucie od brzegu sceny ku łożu Desdemony czuć było śmierć siedzącą na jego drżących rękach, w zajadłości z jaką rzuca się na zbrodniczą w jego mniemaniu żonę wybucha aż do przerażenia, żar boleści palący jego duszę; to nade wszystko zwróciło uwagę naszą, że pomimo wszystkich urzeczywistnień zwierzęcego instynktu, Otello p. Leszczyńskiego, umiał z niemi pogodzić pewną szlachetność ludzką od tragicznéj postaci wymaganą. Po dokonaniu czynu, niepokój jego; po przekonaniu się o niewinności żony, boleść jego, zdobyły się na prawdziwy akcent; i Szekspir znalazł w nim dobrego tłumacza zwrotu ku tym głębiom serca ludzkiego miotanego cierpieniem na które nie ma w środkach ludzkich rady.

P. Leszczyński w ogólności uczynił swą grą wrażenie, wrażenie korzystne, a to już niepospolity tryumf aktora. Spożytkował on korzystnie fizyczne swe przymioty: postawę i głos; w chwilach gwałtownych potrafił nim wstrząsnąć, ale pozostaje mu do wyrobienia rzecz ważna, to jest wyrobienie *piana*, które dotychczas kończy się cichym, prawie niezrozumiałym, zgoła bezefektowym szeptem. Oprócz tego należy mu jeszcze więcéj ociosywać zbyt szorstkie ruchy, co mu nie przyjdzie z trudnością, gdyż widocznie jest na téj drodze; a przy poczuciu wewnętrznem ducha utworów, jakie z pewnością posiada, p. Leszczyński stać się może jednym z filarów naszéj sceny. Niektóre pisma przed kilku laty nazywały go i dziś jeszcze nazywają *materyałem*. My nie nadajemy mu tego miana, które po tylu latach pracy na scenie, znaczyłoby tyle co *niezdolność*, bo kiedyż nareszcie artysta byłby skończonym wyrobem? Uważamy go owszem za artystę wyrobionego do pewnego stopnia i mającego wszelkie dane do dalszego wyrabiania się, przy odpowiednich środkach, jakie rzeczywiście scena warszawska posiada.

Chodziło nam wprawdzie w tem sprawozdaniu jedynie o p. Leszczyńskiege, ale nie możemy pominąć pani Niewiarowskiéj, która uczyniła nam istną niespodziankę. Znienacka zaskoczona przez Szekspira, nader trudną rolę Emilii, żony podstępnego Jaga, oddała nietylko z dobrem pojęciem, ale i w wykonaniu zdobyła się na odpowiednie środki. Bo i cóż to za różnica pomiędzy temi kommunalnemi matkami i margrabinami jakie dotąd najczęściéj przypadają w udziale pani Niewiarowskiéj, a tą pełną energii i uczucia Emilją, która dla miłości prawdy i swéj niewinnéj pani, wyświeca zbrodniczość swojego męża! Jednakże artystka, i tę energiję, i to uczucie doprowadziła do pewnéj skali, która jeśli nie całą ich siłę umieszczoną w osnowie, to choć znaczną jéj część, przeniosła do duszy słuchaczów.

O grze p. Palińskiéj i p. Rapackiego nie wspominamy, ci bowiem artyści przyszli tu niejako z koleżeńską tylko przysługą, i spełnili rodzaj akompaniamentu dla debiutanta. Spodziewamy się Otella zobaczyć w całości na scenie po tak pomyślnem wyjściu samego zakończenia, a wtedy i o wszystkich przyjmujących udział znajdziem zapewne sposobność pomówić. Nie radzilibysmy jednak pani Palińskiéj zaczynać sceny piątego aktu zaraz od wysokich tonów, gdyż ta przy wzmagającéj się coraz bardziéj namiętności uczucia trwogi i prośby, wymaga coraz większego podwyższenia tonu,—a w takim razie artystka, przy całej dokładności gry, nie mogąc już dalej iść na téj skali, zmuszoną by była zachować pewną szkodliwą effektowi monotoniję.

*Kaz. Kaszewski.*

---

# ZABAWKI

## I GRY TOWARZYSKIE DLA DZIECI.

Kto sam się zastanawiał, lub czytał, co napisali doświadczeni pedagogowie, mianowicie ostatnich czasów, ten wie bardzo dobrze, jak wielki wpływ wywiera zabawa i rodzaj zabawek na młodociane umysły. Wrodzone dzieciom zdolności, ich wady i przymioty najlepiej się uwydatniają przy zabawie. Kto potrafi umiejętnie pokierować ich skłonnościami, ten o ich przyszłym losie stanowi. Wiadomo powszechnie, jak Fröbel usystematyzował zabawę dzieci, uczyniwszy z niej potężną dźwignię pedagogiczną.

Zabawki dziecinne nie są tak mało znaczącą rzeczą, jak się na pozór wydaje, ani wydanych na nie pieniędzy nie należy uważać za stracone. Idzie tylko o to, aby uczynić wybór stosowny do wieku i skłonności dziecka. Bezmyślne i zbyteczne obdarzanie dzieci zabawkami nie tylko jest marnotrawstwem, ale nawet pod względem pedagogicznym wielce szkodliwe.

Chcemy więc pomówić o zabawkach dziecinnych, co wszakże nie znaczy, abyśmy mieli się rozpisywać o trąbkach, bębenkach, piszczałkach różnego rodzaju, lalkach modnie postrojonych, konikach, szabelkach i tym podobnych arcy-ważnych przedmiotach, chociaż i one nie są bez pewnego pożytku dla małych dzieci, nie myślimy również wyliczać potwornych różnych figurek, mających przedstawiać niby zwierzęta, niby ludzi, a któremi przecież nasze sklepy przepełnione, a wszystko z zagranicy sprowadzone i sprzedawane wcale nie po nizkich cenach. Przejrzymy raczej bogaty zbiór zabawek dziecinnych i gier towarzyszkich, jakiemi rok rocznie obdarza swoich młodych kundmanów p. Julian Müller, starający się zawsze połączyć zabawę z pożytkiem.

Uwagi i opisy nasze może przydadzą się na co matkom, ojcom lub krewnym w prawdziwym nieraz będącym kłopocie, jak dziatwę uradować i udarować na nadchodzącą kolendę.

P. Julian Müller, mając własną litografią, bogatego dostarcza nam materyału do tego sui generis przeglądu. W ogóle wszystkie przedmioty poświęcane zabawie dzieci i młodocianego wieku, rozklasyfikować można na a) gry towarzyskie, w których los decyduje, b) gry towarzyskie wymagające namysłu, c) różne łamigłówki rozwijające władze umysłowe, d) różne pożyteczne robótki ułożone według metody Fröbla, a przyuczające do cierpliwości, namysłu i wprawy ręcznej.

Najdawniejszą i najprostszą grą towarzyską, w której przypadek o wygranej stanowi, jest *Loteryjka liczbowa* wszystkim dobrze znana, składająca się z tablic, gałek i szkiełek. Więcej urozmaicona jest *Loteryjka obrazkowa*, (50 kop.) w której zamiast gałek z liczbami wydobywają się z worka różne obrazki naklejone na małych tekturowych tabliczkach. Obrazków tych, jak w każdej loteryjce jest 90, z tych 45 wygrywa, 40 przegrywa, a 5 ani wygrywa ani przegrywa. Wygrywający obrazek oznaczony literą *W* a przegrywający literą *P*. Należący do gry składają najprzód po 10 marek, teraz więc, ciągnąc z kolei, kto wygrywa, dostaje z kasy liczbę

marek oznaczoną na obrazku, a kto przegrywa, to płaci również napisaną na obrazku liczbę marek. Kto wyciągnie koronę, wygrywa wszystko, to jest wszystkie marki znajdujące się w kasie.... i naturalnie, gra się kończy. Równie zajmującą, ale może pożyteczniejszą, tylko dla młodych dzieci nie znających jeszcze abecadła, jest *Loteryjką abecadłowa* (50 kop.) Znamy bohaterów i bohaterki kilkoletnie, którzy nie mogąc zapamiętać kształtu liter, przy pomocy tej loteryjki wybornie nauczyli się abecadła. Najlepszą wszakże, i jak nam się zdaje najpożyteczniejszą loteryjką, z którą w tym roku wystąpił zakład p. Müllera, jest gra towarzyska, zatytułowana: *Dwa razy dwa*, jako ułatwiająca naukę mnożenia. Zabawa ta przystępna jedynie dla starszej młodzieży, której nie kłopocze tabliczka Pytagorasa, polega na tém, iż ciągnący losem pokrajane obrazki i naklejone na tekturkę, nie wymawia samej liczby, ale czynniki, które ją tworzą, nie powie *np.* 24, tylko 3 razy 8, albo 4 razy 6, kto więc ma 24 na swojej tabliczce, ten otrzymuje kawałek ryciny i przykrywa nim ową liczbę. Kto najpierwszy pokryje cztery liczby, znajdujące się na każdej tablicy, temu utworzy się prześlicznie ukolorowany obrazek, przedstawiający Turka, Anglika, Niemca, albo też Niemkę, Angielkę, Turczynkę, a przytem wygrywa dowolnie przez grających złożoną stawkę. Żeby tu było mnożenie pojedyńczych cyfer, to połowa była by biedy, ale wystawcie sobie łaskawi czytelnicy, iż wymaga się iloczynu pojedyńczej cyfry przez podwójną np. 3×15 albo 17×4. Otóż chęć wygranej, a szczególniej wstyd i kara, gdy kto nie postrzeże, iż ma na swojej tablicy cyfrę, której czynniki wygłoszone, sprawi to, iż wyuczy się mnożenia na pamięć lepiej, niż najbieglejszy spekulant giełdowy.

Do gier losowych, ale innego rodzaju należą *Wyścigi konne*. Jestto gra towarzyska wielce urozmaicona, a warunki jej łatwo pojmie każdy z grających, których liczba może być dowolną. Na wielkiej tekturowej tablicy znajduje się 70 obrazków wyobrażających różne przygody towarzyszące wyścigom konnym. Z gustem pomieszczone wkoło malowniczy przedstawiają widok hypodromu wyścigowego. Przy każdym obrazku wypisana liczba. Otóż każda z osób grających, złożywszy poprzednio do kasy umówioną ilość marek, rzuca z kolei sześcienną kostką, a wyrzucona liczba oczek, według regulaminu wyścigowego, posuwa konia dalej, lub każe mu się cofać, wynagradza lub nakłada karę. Kto pierwszy stanie u mety, oznaczonej Nrem 70, staje się zwycięzcą i otrzymuje pierwszą nagrodę. Rugulamin wyścigowy dowcipnie ułożony, ztąd gra ta wielu znajduje zwolenników. Kosztuje z wszystkiemi przyborami, w pudełku rs. 1 kop. 20, a bez pudełka 75.

*Dzwonek i młotek* (75 kop.) gra także losowa bawi towarzystwo złożone z kilku, a nawet kilkunastu osób. Zaczyna się, jak zwykle gry tego rodzaju, od złożenia obranemu kasyerowi po 10 marek, następnie odbywa się licytacya pięciu tekturowych tabliczek, wyobrażających: 1° Dzwonek, 2° Młotek, 3° Dzwonek i młotek 4° Konia 5° Dom. Naturalnie, może między grającemi znaleść się jaki zapalony spekulant, który wszystkie tabliczki zakupi, na czem wszakże gra sama nic nie ucierpi, bo każdy z kolei rzuca ośmiu kostkami sześciennemi, i według wyrzuconej liczby punktów utrzymuje z kasy takąż liczbę marek, albo też składa opłatę oznaczoną szczęśliwemu posiadaczowi młotka lub dzwonka, albo też młotka i dzwonka razem. Koń i dom przynoszą także dochody, ale i na straty narażają. Warunki gry bardzo proste, łatwo je pojmą nawet mniej rozwiniętego umysłu gracze.

Tego samego rodzaju, co dwie powyższe jest *podróż do Pekinu* (z pudeł. rs. 1 kop. 20, bez 75 kop). Zbiera się dowolna liczba podróżników, którzy mają zamiar udać się do.... Pekinu. Składają wyznaczoną składkę, i koleją, konno, statkiem parowym, a nawet balonem puszczają się w drogę. Naturalnie, że tu bez przygód i wypadków się nie obejdzie, o czem decyduje fryga, którą każdy z towarzystwa puszcza kolejno. I dziwny los dziwne wyprawia figle swoim zwolennikom; już jesteś blizko upragnionego celu, aż tu koń się rozbiega, most pęka, okręt się zatapia, i masz się za szczęśliwego, jeśli niewielką opłatą wydobywasz się z kłopotu i dalej podróżować możesz, zwłaszcza, iż w niektórych razach otrzymujesz zasiłek od towarzystwa kierującego całą wyprawą. Kto pierwszy stanie w tem chińskiem mieście otrzymuje połowę pieniędzy, znajdujących się w kasie nadto każdy ze spóźnionych towarzyszów płaci mu daninę. Drugi podróżnik z kolei szczęśliwie przybywający do Pekinu drugą połowę kasy zabiera, ale już daniny nikt mu nie składa. Śmiechy i żarty zwykle tej grze towarzyszą.

(d. c. n)

---

# O ubiorach.

— Nowości magazynu p. Thonnes'a są nader liczne, i oryginalne, a kilka fasonów sukien tak wieczorowych jak i kostiumów są zupełnie nowego pomysłu. Naprzykład kostium „Prince Impérial" koloru rezeda z materji zwanéj gros Faille.

Na spódnicy szeroki na trzy ćwierci łokcia wolant skośny marszczony, garnirowany plisowaną prostą falbanką, nad nią do saméj góry ale od boków do tyłu tylko, takież same falbany, cały zaś przedni bryt do boków naszyty plisami z czarną koronką, zakończone kokardą złożoną z jednego pukla i jednego końca.

Staniczek gładki; przód krótki, plecy z karoczkiem układanym w kontrafałdy, ogarnirowany koronką czarną i falbanką plisowaną, od boczków dano pasek plisowany, zapinany na przodzie na kokardę. U góry stanika ranwers szalowy kończył się dosyć nizko kokardą i ogarnirowany był koronką i falbanką plisowaną.

Rękawy wązkie niby podwójne, tworzące tym sposobem podwójną plisę, przystrojono kokardami. Kostium »Rococos". Spódnica rypsowa czarna, na niéj falbana skośna marszczona, na któréj dano w miejsce główki, falbankę plisowaną, z dwóch stron atłasem „gris lapis" lamowaną, w odstępie druga taka falbana się powtarza. Tiunika z materjału „ramage", z tyłu podpinana, nie mniéj z boków za pomocą końcy czarnych rypsowych lamowanych atłasem lapis, i oszyte sutą frendzlą.

Przód tiuniki otwarty, od góry krzyżujący się; cała tiunika oszyta frendzlą. Stanik bluzkowy zapinany na podwójny rząd guzików z kamizelką i kołnierzem marynarskim, Rękawy z klapą, frendzlą oszyte. „Kostium „Athalia" z drap des dames" koloru granatowego, U dołu spódnicy szeroka skośna falbana z nadgłówkiem, przeszytym plisą stębnowaną cztery razy białym jedwabiem i wypustkowaną białym kaszmirem.

Tiunika okrągła, z lewego boku cała zapinana na stalowe guziki, boki wysoko podpięte, tył również podpięty za pomocą węzła z czarnéj wstążki z bardzo długiemi końcami. Kaftanik z fantazyjnym kapturkiem czarnym, wypustkowany białym; plecy weinane. Karoczek podwójny złożony z czterech klap, z których dwie podpuszczone mają pukle ze wstążki. Przód wolny zapinany do lewego boku na stalowe guziki, na prawym zaś boku dano dwie kieszonki jedna nad drugą, przytrzymane na stalowe guziki.

Rękawy z klapą ułożoną w kontrafałdę i spiętą kokardą czarną. Cały kaftanik wypustkowany białym kaszmirem.

Prześliczna suknia wieczorowa „Ristori" z czarnego gros Faille. Spódnica z trenem miała u dołu bardzo szeroki wolant prosty, ogarnirowany wązkim wolantem skośnym, marszczonym z główką, takiż sam wązki wolant dany w miejsce nadgłówka lecz układany, w muszle, nad nim woda z nadgłówkiem układanym w muszle, lecz ta dochodziła tylko na przodzie do boków, gdzie dano skrzydła oplisowane i na przyszyciu u góry podpięto kokardą morową, tworząc buffę. Tył dwa razy podpinany kokardami morowemi tworzy podwójną buffę, jedną u saméj góry, drugą niżéj.

Staniczek francuzki; karoczek plisowany z odwróconemi klapami, spiętemi kokardami. Rękawy zupełnie wązkie, rozcięte od łokcia przystrojone białą koronkową buffą; na staniczku chusteczka czyli pelerynka „Charlotte Corday" z czarnéj grenadiny i koronki, na przodzie zakończona kokardą na ramionach lekko kokardami podpięta; z tyłu końce bardzo długie spuszczają się nizko na spódnicę.

Paletocik „Metella" czarny syberynowy ubierany morą czarną, miał przód wolny zapinany do boku; cały przód przystrojony kokardami płaskiemi morowemi, przepinanemi kółkami dżetowemi.

Na plecach ubranie tworzące kapturek, zakończony kokardą. Cena tego paltocika a raczéj kaftanika rs. 30. „Dolman" syberynowy, z plisą do około daną z poult de soie i sutaszowaniem, oszyty był futrem „rysiami". Kapturek płaski układany w fałdy i również oszyty futrem. Cena rs. 45. Widzieliśmy wiele Dolmanów aksamitnych nader bogatych i gustownych, lecz zarazem i kosztownych.

Fason Dolmana jest gustowny i wygodny, gdyż łatwo coś cieplejszego pod spód włożyć można. Magazyn ten również zaopatrzony jest w kapelusze, między innemi odznaczał się kapelusz „Stella" czarny aksamitny z ranwersem; główkę otacza skręcenie z morowéj wstążki, denko prawie całe przykryte welonikiem fantazyjnie upiętym, z lewego boku pióro czarne spadające do tyłu i zakończone pękiem róż różowych. Szarfy z morowej czarnéj wstążki. Kapelusz „Marie Antoinette" okrągły. Rondko w kanty, główkę otacza skręcenie welonika tiulowego, które następnie zachodzi do tyłu, układa się w pukle i zwiesza się w końcu. Z lewego boku rajski ptak i pióro czarne strusie.

— Kapelusz z aksamitu brązowego. Rondko gładkie spuszczone; główkę okala plisowana wstążka w dwóch cieniach, schodzi się aż do tyłu tworzy pukle i długie końce, suta kokarda aksamitna w kształcie klamry z lewego boku umieszczona, przytwierdza pióro strusie brązowe cieniowane, które spada aż do prawego boku. Kapelusz czarny aksamitny. Z tyłu główka bardzo wysoka, z przodu spłaszczona. Główkę otacza splecenie z aksamitu i wstążki morowéj; długie pióro czarne opuszczające się zupełnie z tyłu i zakończone dużemi bratkami fijołkowemi, z lewego zaś boku upięty welonik i pukle morowéj wstążki dopełniają ubrania. Szarfy czarne. Piękne bardzo pokazywano nam kokardy do kołnierzyków. Naprzykład kokarda w dwóch cieniach „vert du Nil" i „vert du Rhône" złożona z pomięszanych sześciu pukli, przepięcia, jednego spadającego pukla i końca broszowanego w kwiaty. Kokardy takie widzieliśmy w kilkunastu cieniach jak naprzykład: fijołkowa i lila niebieska „bleu turquise" i „bleu lune" „rose de chine i rose malade" i wiele innych, lecz wszystkie gustowne. W ozdobnych pudełkach stanowić mogą ładny podarek; cena ich po rs. 3. Za nowość pokazywano nam także kamizelki, które robią z crêpe de Chine, aksamitu

i materji. Ta którąśmy oglądali zrobiona była z lila crêpe de chine, układana w pliski, na przodzie otwarta, oszyta z przodu kilka razy walansienką, tworząc fryzę, do około zaś raz jeden takąż walansienką formując na plecach u szyi dwa zęby. Kamizelka taka nosi się na staniku, i służy do toalety teatralnéj, koncertowéj, lub wieczorowéj, kosztuje od rs. 8 do 25. Chusteczki „Charlotte Corday" z crêpe de chine, mają kształt rogówki podwójnéj; u szyi zebrane lekko za pomocą zwieszającéj się kokardy lub bez niéj, zapinają się u pasa. Z takiéj chusteczki łatwo zrobić można zarzutkę na głowę. Duży też bardzo dobór dżetowych bižuteryi na teraz bardzo modnych, posiada p. Thones, a między innemi nowe łańcuszki do zegarka zwane „chaîne châtelaine" są to raczéj agrafy z trzema krótkiemi wiszącemi łańcuszkami, do których zawiesza się zegarek, medaljon, pieczątka, woreczek z pieniędzmi lub wachlarz. Z materjałów łokciowych zwróciły naszą uwagę: „Cachemire Vigogne", „Damas de soie" „Velours royal", „Sih Sah" „Plaid" wreszcie materjał zwany „Velours d'hiver", są to materjały czysto wełniane; ceny od kop. 75 do rs. 2. Materje „Gros Faille" w kolorach modnych jako to: Reseda, Paon, Rhône, Moselle, Pêche, Nillson; w cenach od rs. 2 kop. 25, do rs. 3 kop. 30.

Niemniéj materjały na pokrycie futer od rs. 1 kop. 50 do rs. 4. Z materjałów na ślubne suknie widzieliśmy; „Gros Faille" „Epingline" „Gros grain" i mory, które o ile nam się zdaje wkrótce wezmą górę i staną się również modne jak kiedyś był atłas, który dziś z garderoby elegantki zupełnie jest wykluczony.

Na lekkie wieczorowe suknie p. Thonnes przygotował „Gaze Medina", „Gaze Chambery" „Gaze Satinée" wreszcie odwieczne lecz zawsze modne tarlatany, które dziś nazywają się dla odróżnienia gatunku: tarlatane Diamant, tarlatane Cristal, itd. W magazynie bielizny czyli białego towaru p. Maurycego Reichla, widzieliśmy mnóstwo nowości w kołnierzykach. Pokazywał nam pan Reichel także kokardy kołnierzykowe z crêpe de chine aksamitu, lub wstążki rypsowéj w dwóch cieniach. Kokardy stanowiące zupełną nowość są te, które zostały oszyte kwaścikami z futra, naprzykład czarne kształtu żabotu do około z kwaścikami gronostajowemi lub popielicowemi. Dla wiadomości naszych czytelniczek doniesć musimy iż p. Maurycy Reichel otwiera w sklepie maszyn p. Wiśniewskiego, na Krakowskiem Przedmieściu filję swego sklepu, gdzie towary i ceny pozostaną takie, jak dotąd praktykowane są w magazynie, mieszczącym się w gmachu teatralnym.

# OD REDAKCJI.

Tygodnik Mód i Powieści w roku przyszłym 1873 wychodzić będzie w tym samym jak dotąd formacie i po tej samej obniżonej cenie prenumeracyjnej.

W Warszawie kwartalnie . . . Rs. 1 kop. 50

Na Prowincyi tak w Cesarstwie jak Królestwie z przesyłką pocztową:

| | |
|---|---|
| Rocznie . . . . . . . | Rs. 8 „ |
| Półrocznie . . . . . . | Rs. 4 „ |
| Kwartalnie . . . . . . | Rs. 2 „ |

Upraszamy o wyraźne wypisywanie nazwisk i ostatniej stacyi pocztowéj, jak również o przysyłanie należytości *wprost* do Redakcyi pod adresem do J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci w Warszawie. Ulica Żabia N 956 (nowy N. 6)

## PRZYJACIEL DZIECI

### PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

Wychodzi w formacie mniejszego arkusza z dodatkiem półarkuszowym, który w jednym tygodniu obejmuje powieść większych rozmiarów, a w drugim przeznaczony jest wyłącznie dla młodszéj dziatwy: zaczynającéj i kończącéj dopiero naukę czytania.

Reszta zaś wydawnictwa służy dla panienek i chłopczyków już stałej oddanych nauce.

W obu tych częściach redagowanych odpowiednio do swego przeznaczenia, mieszczą się: powieści i powiastki, obrazy historyczne, artykuły naukowe, wiadomości z przemysłu, nowe wynalazki i odkrycia, podróże, życiorysy różnych znakomitości.poezye, bajki, zagadki, myśli itd.

Pomimo obniżonéj ceny prenumeracyjnej, co rzeczywiście zrobiło *Przyjaciela Dzieci* najtańszem pismem, ze wszystkich dotąd wychodzących w kraju, nic nie pominiemy w przyszłości takiego, co tylko do jego prawdziwego ulepszenia przyczynić się może. Doświadczenie i rady rozumne, zadanie to niezmiernie już ułatwiły: wspomagani niemi pójdziemy dalej w raz obranym kierunku, a że ten jest dobry po siedmioletniej mozolnej pracy, zyskał uznanie i poparcie, najlepiej świadczą liczne odbierane korespondencje i corocznie zwiększająca się liczba prenumeratorów.

W jednej z poprzednich odezw, wzywaliśmy Matki i Ojców o poparcie naszego wydawnictwa nie odmówiono go nam: dziś ponawiamy to pewni, że głos nasz w tak ważnej sprawie, równie życzliwie przyjęty zostanie.

Wymagamy niewiele, tylko **dwugroszowéj dziennie ofiary** na korzyść dziatwy. Poniesienie jej acz tak malutkiej i nic prawie znaczącej sowicie się wynagrodzi. **Co uczynicie jednemu z maluczkich, mnie uczynicie**, a historya ludzkości poucza, że szczęście, potęga lub upadek każdej społeczności, jedynie od sposobu wychowania młodego pokolenia zależy.

Jeżeli więc chcemy, aby dziatwa nasza stała się chlubą kraju a nie jego wstydem, aby gmach ogólnej pomyślności nie na piasku się wznosił ale na opoce, uczmy dzieci nawet w zabawie, od pierwszej chwili ocknienia się w nich myśli, jak mają stać się zacnemi i rozumnemi. **Przyjaciel Dzieci** wielce to ułatwi,a że usługę tę spełnia sumiennie, odwołujemy się do tych co czytając go pojęli jego zasady i środki jakich w tym celu używa.

Jako dowód tego uznania, donosimy Prenumeratorom naszym, że znakomity nasz pisarz **I. J. Kraszewski** pragnąc wspomagać usiłowania redakcyi, przygotował dla Przyjaciela powieść p. t. *Bracia mleczni*, której druk z początkiem roku przyszłego rozpoczniemy. W długim zawodzie jego pisarskim, będzie to pierwsza praca podobnego rodzaju, mamy więc nadzieję że za tak pięknym przykładem pójdą inni słynni nasi powieściopisarze, i że pismo nasze zapewni sobie współpracownictwa najpierwszych talentów, wyłącznie dotąd dla osób dojrzałych pracujących.

## Zniżona cena prenumeraty wynosi:

| w Warszawie | | na Prowincyi i w Cesarstwie | |
|---|---|---|---|
| Rocznie . . | rs. 3 | Rocznie . . . | rs. 4 |
| Półrocznie . | rs. 1 k. 50. | Półrocznie . . | rs. 2 |
| Kwartalnie . | rs. k 75. | Kwartalnie . . | rs. 1 |

Prenumerować można w Warszawie we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism perjodycznych.

W Cesarstwie i Królestwie *najlepiéj* za pośrednictwem *Redakcyi*, przysyłając należytość pod adresem do **J. K. Gregorowicza Redaktora Przyjaciela Dzieci przy Ulicy Żabiej Nr. 956.**



# Korespondencya.

Pani Izabelli G. Do najmodniejszych okryć należy Dolman z szerokiemi rękawami, wyszywany sznureczek em jedwabnym. Obszycia futrzane i frendzle mięszane z futrem bardzo są używane.—Suknie czarne jedwabne do salonowego ubrania, mają niekiedy falbany mięszane w dwóch kolorach: trzy wielkie fałdy czarne i trzy z materji fijołkowéj lub popielatej albo złoto-żółtej.

Pani Maryi P. Dwie spinki złote kosztują od rs 12 do 20.

Pani Maryi W. Sploty z warkoczy do tyłu głowy kosztują rs 13. Kok z loków rs. 25.

**N. 50. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku** i zawiera. Scena na Zamku w Olesku, (z drzeworytem). Orlęta, (bajka) przez *J. Laskarysa*.—Pogadanki z Ojcem. XIV.—Podróże Kazi, przez *Bronisławę L.* (Ciąg dalszy).—Czyny nauczające.—Grzegorz Bączek, przez *Kurpia* Źródło Aretuza, (z ryciną).—Ze zdarzenia prawdziwego.—Szarada.—Od redakcyi. W dodatku: Przygody Ryszarda angielskiego. Opowiadanie historyczne ułożone z powieści angielskich pisarzy.

Cena w Warszawie kwartalnie kop. 75. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami, akrkusz z krojami, i prospekt na **Gazetę Rolniczą.**

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 51 r. 1872.

# JOHN SCROOGE

POWIASTKA.

## NA BOŻE NARODZENIE

PRZEZ

**Karola Dickens'a.**

(Dalszy ciąg.)

— Piękny mi chlebodawca, zawołała z oburzeniem, mistres Kratchit, wartoby doprawdy, życzyć aby nigdy nie starczyło mu na więcej chleba, jak nam go daje.

— Żono, rzekł z cicha Bob.... dzieci słyszą...a potem, to dzień Bożego Narodzenia.

— A chyba też tylko ze względu na dzień tak uroczysty, można powstrzymać się od złorzeczenia takiemu nikczemnikowi, tak chciwemu i niesumiennemu skąpcowi. Trzyma cię codzień w kapturze od 9 rano do 4 lub 5ej po południu, jest zadowolniony z twojej pracy, przynosi mu ona ogromne zyski, i jakież to nędzne stosunkowo daje ci wynagrodzenie? Gdybyż przynajmniej nie trzymał cię tak długo, mógłbyś znaleźć sobie jakieś zajęcie na poobiednie godziny....ale tak wyzyskiwać biedę i pracę ludzką, o-to niegodnie! wszelkie życzenia nic nie pomogą, prędzej czy później dosięgnie go sprawiedliwość Boska.

— Żono, żono! rzekł znów łagodnie Bob, nie zapominaj, że dziś Boże Narodzenie.

— Dobrze, mój drogi, kiedy chcesz, nie dla niego ale dla twojej miłości i przez pamięć na ten dzień uroczysty, wypije za jego zdrowie. Życzę mu więc szczerze długiego życia, wesołych Świąt i wszelkich pomyślności na rok przyszły, ale czy mu się to na co przyda,—wątpię—i sam wiesz, że on pierwszy zaśmiałby się z tego.

Idąc za przykładem rodziców, cała rodzina wypiła zdrowie Scroog'a, ale była to jedyna rzecz, którą w tym dniu niechętnie wykonali; nawet Tiny—Tom wyraźnie tylko jakby z musu brał się do kieliszka. Scrooge uchodził w całej rodzinie za jakiegoś ludożercę i wilkołaka; już sama wzmianka o nim, rzuciła jakby czarny cień na tę rodziną ucztę, i trzeba było całych pięciu minut żeby go rozproszyć.

Jak tylko zatarło się wspomnienie Scroog'a wesołość wróciła w najlepsze. Bob oznajmił, iż ma nadzieję wyjednać dla Piotra posadę, która przynosiłaby mu sześć szylingów i pięć pensów tygodniowo. Dwoje małych Kratchitów zaczęli radośnie klaskać w dłonie i śmiać się jak szaleni, na samą myśl, że Piotr będzie pobierał pensyę—a sam Piotr spoglądał zamyślony na ogień, z pomiędzy krochmalnych rogów *swego* kołnierza, jak gdyby namyślając się jaki obrót nada owym szyllingów, jeźli stanie się ich posiadaczem.

Marta pracowała w magazynie mód; opowiadała jaką odrabiała robotę, ile godzin dziennie pracowała bez wytchnienia, i biedaczka cieszyła się niewymownie, iż jutrzejszy dzień przepędzi w domu, i nie będzie zmuszona wstawać równo ze świtem. I tak gawędzili o tem i o owem, a nareszcie na powszechne żądanie, Tiny—Tom zaczął swoim miłym i dźwięcznym głosem, śpiewać jakąś balladę o dziecku zbłąkanem wśród śniegów.

Jak widzicie, czytelnicy, nie było w tem wszystkiem nic pańskiego ani arystokratycznego, nie była to herbowna, dumna pochodzeniem swem rodzina, nie pokrywały ich strojne i kosztowne szaty; obówie nie było nieprzemakalne —i o wiele, bardzo wiele do tego brakowało; krój sukien nie zdradzał pochodzenia z najpierwszych magazynów, i nawet, głowę daję w zakład, że tużurek Piotra znał się blizko ze składem jakiegoś tandeciarza—a mimo to wszystko byli szczęśliwi, chwalili Boga, kochali się i nie sarkali wa swój los,—a gdy odchodząc duch raz jeszcze potrząsł nad niemi swoją pochodnią, poczciwe ich serca zdawały się niczego nie pragnąć więcej. To też duch z progu jeszcze obejrzał się na nich, i długo zatrzymał wzrok na Teny—Tomie.

Czarna noc roztoczyła swe cienie: śnieg padał płachtami, i gdy Scrooge przesuwał się z duchem przez ulice miasta, ogień palący się po kuchniach i izdebkach, po pałacach i lepiankach, ślicznie odbijał w ciemności. Tu jasny płomień oświetlał przygotowania do dobrego obiadu zamożnej rodziny, talerze stały w pobliżu dla ogrzania, a w oknach zasuwano ciężkie firanki, aby ciemność i zimno nie wdzierały się do wnętrza. To znów dzieciaki wybiegały aż na ulicę, aby prędzej powitać zamężne siostry, braci, stryjów, ciotki. Nieco dalej sylwetki zgromadzonych osób rysowały się na zapuszczonych storach, tam znów poza gromadą dziewcząt, ciepło otulonych, obutych w wysokie futrzane buciki, biegły gdzieś w odwiedziny, rozmawiając wesoło i biada kawalerom (jestem pewny że czarodziejki wiedziały o tem dobrze) biada, mówię kawalerom, którzy zobaczą je wchodzące do pokoju, z policzkami zarumienionemi od zimna, z okiem iskrzącem radością.

I tak szli i szli a wszędzie, w najodleglejszych nawet zaułkach, spotykali mnóstwo osób; nie było prawie tak nędznéj chatk i, aby ktoś nie zawitał do niej w odwiedziny. To też duch nad wyraz cieszył się radował; szeroka pierś jego oddychała całą pełnią, wielka dłoń otwierała się nieustannie, i z lubością unosił się po nad temi tłumami ludzi, hojnie rozdzielając między nie swą niewinną uciechę i radość. Dobry duch nie pominął nawet biednego zapalacza latarni, który całkiem już ustrojony zapalał latarnie, światłem ich rozpraszając ciemność, a zwijał się prędko, aby co prędzéj wracać do rodziny, lub wejść w gościnne oczekujące go progi;duch zbliżył się do niego i potrząsnął pochodnią, i w tejże chwili latarnik, ani się domyślając że tuż obok niego stoi duch Bożego Narodzenia, zaczął śmiać się na całe gardło.

W tem nagle, ani jednem słówkiem nie uprzedzając Scroog'a o mającej nastąpić zmianie, duch powiódł go nad smutne i opustoszałe bagnisko, na którem tu i owdzie leżały ogromne stosy nieoczyszczonej rudy nadające mu postać cmentarzyska olbrzymów. Woda spadała gdzie tylko chciała, nie znając innych przeszkód prócz chwytającego ją w swe okowy mrozu. Nic nie wschodziło na tym jałowym gruncie, i tylko gdzie nie gdzie widniały kępki mchu, jałowcu i nędznéj, zżółkłej trawy. Na horyzoncie, od strony zachodniéj, zachodzące słońce pozostawiło za sobą mocno czerwoną ognistą strugę, rozjaśniającą chwilową ten opustoszały,ponury krajobraz, który za chwilę miał w zupełnej pogrążyć się ciemności.

— Gdzież jesteśmy? zapytał Scrooge.

— Jesteśmy w miejscu gdzie pędzą życie górnicy pracujący w łonie ziemi ale patrz, nie widząc, odgadują moją obecność.

W okienku jednej z biednych chatek błysnęło światełko, skierowali ku niej swe kroki. Stanąwszy pod oknem zobaczyli wesołe grono, siedzące w pół-kole, około jasnym ogniem płonącego komina; był tam siwowłosy staruszek, kobiecina w podeszłym wieku, ich dzieci i wnuki; wszyscy przybrani w swe świąteczne szaty. Starzec cienkim, piskliwym głosem, podobnym do świstu wiatru, świszczącego w bezludnej puszczy, śpiewał im pra-stare kolendy, a od czasu, cała rodzina powtarzała chórem niektóre zwrotki. Widocznie śpiew ten dodawał starcowi jakiejś sztucznej siły, bo gdy tylko przestawał śpiewać, osłabiony opuszczał głowę na piersi.

Duch wstrząsnął nad tą chatą swoją pochodnią i oddalił się, polecając Scrooge'owi, aby się teraz mocno trzymał jego sukni, i unosząc się w powietrze uniósł go—po nad morze. Scrooge obejrzał się i ujrzał z przestrachem znikający ostatni pas ziemi i szeregi skał urwistych; nagle usłyszał ogłuszający szum bałwanów, które zrywały się, pieniły i z głośnym hukiem rozbijały się w łonie przerażających jaskiń, przez nie same wydrążonych, jak gdyby morze, w przystępie wściekłości, zapragnęło podminować ziemię.

W dość znacznéj odległości od brzegu, na skale wyłaniającéj się z wód morskich, wznosiła się samotna latarnia morska, u stóp której rozhukane fale szalone staczały walki. Ogromne zwoje roślin morskich obwijały swemi splotami podnoże latarni a ptaki, zwiastuny burzy, powstałe może z wichrów, jak algi z wód morskich, latały w około już to wznosząc się, już opuszczając, jak bałwany morskie, które muskały swem skrzydłem.

Nawet i w téj samotnéj, po nad morzem sterczącéj latarni, dwóch jéj stróży rozpaliło jasny ogień, którego łuna przedzierająca się otworem wybitem w murze, odbijała się na powierzchni morza. Przy prostym sosnowym stole siedziało dwóch ludzi zapijając grog, wyciągnęli do siebie szorstkie dłonie, i ściskając je wzajemnie, życzyli sobie wesołych Świąt i N. Roku, poczem, starszy wiekiem, którego twarz poorana wichrem morskim, przypominała owe figurki wyrzeźbione na przodzie okrętu, zaczął nucić jakąś dziką pieśń, głosem tak ochrypłym, iż można go było wziąść za gwizd wichru, szalejącego wśród burzy.

Duch unosił się ciągle po nad niezmierzonem kołyszącem się morzem, i tak leciał i leciał zdala od ziemi i brzegów, aż zobaczywszy na pełnem morzu okręt, spuścił się nad niego, zatrzymując się już to przy sterniku stojącym przy rudle, już to przy strażniku, już to przy ofiarach pełniących służbę, i towarzyszył im wszędzie gdzie ich wołał obowiązek. I każdy z tych ludzi albo nucił kolendową pieśń albo myślał o Bożem Narodzeniu, lub też przypominał któremuś z towarzyszy ubiegłe już Święta, i wspólnie cieszyli się nadzieją prędkiego powrotu na łono rodziny. I tak gdzie się tylko zwrócili, wszędzie wszyscy, źli czy dobrzy, rozmawiali z sobą daleko uprzejmiéj i serdeczniéj niż w inne dni roku; wszyscy starali się uczcić dzień, tak uroczysty szczerą radością lub dobrym jakimś uczynkiem; wszyscy

wspominali nieobecnych krewnych i przyjaciół, i pocieszali się przekonaniem: że ukochane im oddalone osoby, także myślą o nich i modlą się o ich szczęście.

Scrooge wsłuchiwał się w żałośny świst wichru, i zastanawiał się nad znaczeniem téj nocnéj wędrówki, po nad niezmierzonem morzem, którego tajemnicze otchłanie były równie niezbadane jak tajemnica śmierci gdy w tem posłyszał odgłos wesołego śmiechu. Zdziwił się niewypowiedzianie, a zadziwienie to dosięgło najwyższego stopnia, gdy poznał, że śmiech ten wydarł się z piersi jego siostrzeńca, i jednocześnie ujrzał się w pokoju dobrze oświetlonym, ciepłym, schludnym i czyściutkim, a duch stojący obok niego uśmiechał się dobrotliwie, spoglądając na siostrzeńca jego z życzliwością i uznaniem.

— Ha! ha! ha! śmiał się siostrzeniec; ha! ha! ha! I ręczyć mogę, miły Czytelniku, że w całem życiu twojem nie zdarzyło ci się spotkać człowieka, któryby mógł śmiać się szczerzéj i weseléj, jak siostrzeniec Scroog'a w owéj chwili.

Wiadomo powszechnie, że smutek i choroba są zaraźliwe, ale nikt też nie zaprzeczy, że dobry humor i śmiech zarówno udzielają się otaczającym. Kiedy siostrzeniec Scroog'a śmiał się do rozpuku, trzymając się pod boki, a żona jego, przybrana siostrzenica Scroog'a, śmiała się równie serdecznie, zebrani znajomi i przyjaciele przyjęli także udział w tym koncercie. i śmieli się z całego gardła. Ha! ha! ha!... hi! hi! hi!.... oh! oh! oh! rozlegało się na wszystkie strony.

— Słowo honoru wam daję, wołał siostrzeniec, iż powiedział mi nie raz, że Boże Narodzenie: głupstwo! I wierzcie mi, mówił co myślał.

— Tem gorzéj dla niego, Alfredzie; rzekła z oburzeniem przybrana siostrzenica.

A była to śliczna, bardzo śliczna kobietka; młoda jéj twarzyczka miała ujmujący wyraz dobroci i szczerości; rumiane usteczka zdawały się stworzone do pocałunków, i Alfred nie dozwalał aby kłamały swemu przeznaczeniu; na brodzie rysowały się maleńkie dołeczki, uwydatniające się szczególniéj gdy się śmiała, oczy czarne jak węgle, błyszczące ogniem i życiem; słowem była to piękność może trochę wyzywająca, ale też z pewnością dotrzymywała co obiecywała,—a dotrzymywała najzupełniéj.

— Ani słowa, pocieszny starowina! mówił daléj siostrzeniec, no! trzeba przyznać, że mógłby być trochę uprzejmiejszy, ale błędy i winy jego same w sobie znajdują karę, więc ja mu przebaczam.

— Wszyscy mówią, że jest bezmiernie bogaty, rzekła siostrzenica.

— I cóż tam przyjdzie z tego bogactwa, które jemu samemu żadnéj nie przynosi korzyści, skoro nie tylko innym, ale i sobie samemu szkodzi, nie używając go dobrze, odrzekł siostrzeniec.

— A wiesz co, to najzabawniejsza, iż pewnie ani po myśli, że wszystko co nagromadzi, tobie się kiedyś dostanie, rzekł ktoś z obecnych.

— Obrzydły skąpiec! rzekła żona Alfreda, a siostry jéj i wszystkie przytomne damy potwierdziły to zdanie.

— No! ja jestem widać więcej tolerującym od was, rzekł znów siostrzeniec, nie mam do niego urazy i przebaczam mu chętnie, boć zresztą któż więcéj niż on sam cierpi i traci na tak nieszczęśliwem usposobieniu? zawsze i wszędzie sam, i on nikogo i nikt go nie kocha. Odmawiając mojego zaproszenia sam sobie wyrządził krzywdę, pozbawiając się, jakkolwiek skromnego, ale pewnie smaczniejszego obiadu, niż ten jaki dostanie w swojéj garkuchni i towarzystwa daleko przyjemniejszego nad towarzystwo własnych jego myśli, w jego ponurym kantorze i zakurzonych pokojach. Da Bóg doczekać na przyszły rok, znów ponowię moje zaproszenie, choćby mnie równie źle przyjął jak teraz, bo śmiejcie się, ale żal mi go, doprawdy. Wolno mu do saméj śmierci szydzić z Bożego Narodzenia, kto wie jednak czy nie wpłynie to na jego zdanie, gdy co rok ujrzy mnie szczęśliwym i wesołym, witającego go serdecznie, i szczerze życzącego mu wesołych Świąt i N. Roku... Gdyby wszystko to choćby o tyle wpłynęło na jego zmianę, aby choć biednemu swojemu subjektowi powiększył płacę, jakże byłbym zadowolnionym.... I wiecie co, jakoś mi się zdaje, że wczoraj zachwiałem trochę jego przekonanie.......

Słysząc te słowa, całe towarzystwo głośnym parsknęło śmiechem, ale bo też pocieszny ten Alfred! jak można nawet przypuszczać, że ktokolwiek lub coś kolwiek na świecie, może wpłynąć na przekonania takiego Scroog'a.

Po herbacie bawiono się muzyką; siostra żony Alfreda, ładna, okrąglutka szatynka, śpiewała duet z pewnym młodym, czule na nią spoglądającym blondynem. Pani Alfredowa grała na harfie różne kawałki z oper, a na zakończenie starą narodową piosenkę, tęż samą którą niegdyś śpiewywała młoda dziewczyna, przychodząca zabrać Scroog'a z pensyi do swego domu. Dźwięki te znów całą przeszłość uprzytomniły w pamięci Scroog'a, i coraz więcéj rozrzewniony pomyślał sobie: że gdyby był od tylu już lat często słuchał téj piosenki, byłby zakosztował domowego szczęścia i słodkich węzłów rodzinnych, i nie byłby żył po to jedynie aby kiedyś, może niedługo, zaostrzyć niecierpliwy rydel grabarza, który już pogrzebał Marley'a.

Skończywszy grać i śpiewać zaczęto się bawić w gry i sądzić fanty; dopieroż to powstała wrzawa i hałas!

Scrooge śledził wszelkie poruszenia grających z takiem zajęciem, jakby to były jakieś niesłychanie ważne operacye giełdowe. Widać duch był z tego zadumiony, bo spoglądał na niego z dobrotliwym uśmiechem.

— Nigdy w życiu jeszcze nie ubawiłem się tak dobrze, rzekł Scrooge; otóż nowa jakaś gra, mój duchu, proszę, zabawimy tu jeszcze czas jakiś.

— Była to gra, zwana *Tak i nie.* Postawiono fotel na środku pokoju i posadzono w nim przybraną siostrzenicę Scroog'a; powinna była obrać sobie w myśli jakiś, wyraz, rzecz lub osobę, a inni grający obowiązani byli odgadnąć. Wolno było zadawać jakie kto chciał pytania, ona zaś tylko przez *tak* lub *nie* odpowiadała na nie. Gdy jednak długo nikt odgadnąć nie mógł, młoda gosposia chcąc gościom ułatwić zadanie, zaczęła opisywać obrany przedmiot i tak powiedziała: że myśli o zwierzęciu, żyjącem, oprysklіwem, dzikiem, które czasami mruczy i krząka, czasami mówi, mieszka w Londynie, chodzi po ulicach, że go nie pokazują za pieniądze ani nie prowadzą na smyczy; że podobnych mu nie zamykają w menażeryach i nie zabijają w jatkach, i że to nie jest ani koń, ani osioł, ani krowa, ani byk, ani tygrys, ani pies, ani świnia, ani kot, ani niedźwiedź. Za każdem nowem zapytaniem uczynionem odnośnie, do powyższego opisu, ciągle odpowiadała *nie* i zanosiła się od śmiechu. Wszyscy zachodzili w głowę co to być może, aż nareszcie po chwili, okrąglutka siostrzyczka parsknęła śmiechem, wołając: już wiem już wiem!

Scrooge, zaciekawiony niewymownie, gdyż pomimo, że był sprytny nadzwyczaj, i tylko dla wywiedzenia w pole interessantów udawał prostaczka, w żaden sposób nie mógł odgadnąć, bacznie nadstawił ucha. Duch spojrzał na niego ze złośliwym uśmiechem.

— Więc powiedzże co takiego, zawołał Alfred.

— Twój wujaszek Scro—o—o—o—oge!

Scrooge chciałby w téj chwili schować się pod ziemię,—obecni przeciwnie uradowali się niewymownie, zaczęli śmiać się i bić brawo, a jeden dowcipniś wystąpił z żartobliwą wymówką, zarzucając gospodyni domu podstęp i złą wiarę.

— Jakto? odezwało się kilka głosów?

— Dowiodę mego zarzutu, odrzekł niezmięszany. Nie należało odpowiadać *nie* na pytania czy to jest niedźwiedź? czy, to świnia? bo ta przecząca odpowiedź musiała zbić z tropu każdego komuby p. Scrooge przyszedł na myśl.

Brawa i śmiechy powtarzały się do nieskończoności.

— Trzeba przyznać, że znaczną część wieczoru bawimy się jego kosztem rzekł siostrzeniec, byłoby więc czarną niewdzięcznością nie wnieść toastu za jego zdrowie. No! daléj uderzmy w szklanki! zdrowie wuja Scrooge!

— Niech i tak będzie, odrzekli chórem, zdrowie wuja Scrooge'a.

— Nie wchodząc czy on zły czy dobry, życzę staremu wesołych świąt i szczęśliwego N. Roku. Choć wbrew jego woli składam szczere życzenia moje. Zdrowie wuja Scrooge.

Wuj Scrooge tak się tu jakoś rozruszał i rozweselił, tak mu lekko było na sercu, iż nie pamiętał nawet niemiłych słówek jakie o sobie słyszał, i chętnie byłby podziękował całemu towarzystwu, zapominając, iż ono ani widzieć ani słyszeć go nie może. Lecz z ostatnim dźwiękiem ostatniego wyrazu wymówionego przez siostrzeńca, cały obraz znikł z oczu Scrooge'a, duch w dalszą powiódł go wędrówkę.

I zwiedzali miasta i wioski, dwory i chatki, a każde zbliżenie się ducha Bożego Narodzenia, szczęśliwe następstwa sprowadzało dla nawiedzanych. Duch stawał przy łożu chorych, w tęsknej izdebce wygnańców, i zapominali o cierpieniach swoich, i tułaczom zdawało się przez chwilę, że się przenieśli na ojczystą ziemię. Nawiedzał dusze ciężkie z losem staczające walki, i natychmiast budziła się w nich rezygnacya i nadzieja lepszej przyszłości, najbiedniejsi godzili się ze swoim losem. Odwiedzał z kolei zakłady miłosierne, więzienia, szpitale, te przybytki nędzy i nieszczęścia, zostawiając wszędzie pociechę i błogosławieństwo, i ucząc zarazem Scroog'a, jak należy spełniać uczynki miłosierne.

Jeśli cała ta wędrówka odbyła się jednej nocy, to noc ta musiała być nadzwyczaj długa, ale Scroog'owi zdawało się, że kilka minionych świąt mieściło się w przeciągu czasu, jaki przebyli razem. Dziwna rzecz, Scrooge zewnętrznie żadnej nie ulegał zmianie, kiedy przeciwnie duch widocznie, ale to widocznie się starzał. Scrooge uważał tę zmianę, jednak nie pokazywał tego po sobie, i dopiero gdy wychodząc z pewnego domu, gdzie liczna dziatwa uroczyście obchodziła święta, zobaczył że włosy ducha zupełnie posiwiały, ośmielił się zapytać:

— Czyliż życie duchów trwa tak krótko?

— Moje życie na tym świecie jest nader krótkie i kończy się tej nocy, odrzekł duch.

— Tej nocy, wykrzyknął Scrooge.

— Tak o samej północy, ostatnia godzina się zbliża,—słuchaj.

W tejże chwili zegar wybił trzy kwadranse na jedenastą.

— Wybacz zbyt śmiałe może zapytanie rzekł Scrooge, uważnie przyglądający się szacie ducha, ale widzę iż z pod sukni twojej wygląda coś dziwnego, czego tam pierwej nie było.

— Chcesz zobaczyć? odrzekł duch, dobrze i odrzucając fałdy swej szaty, ukazał dwoje dzieci, dwa stworzenia niewypowiedzianie wstrętne, straszne, odrażające, ohydne, które uklękły przy nogach jego, czepiając się jego szaty.

— Człowiecze! zawołał duch, patrz co pełza u nóg twoich, patrz! patrz!...

Było to dwoje dzieci, chłopiec i dziewczyna, chude, wynędzniałe, żółte, okryte łachmanami, a pomarszczone ich twarze, wstrętne i odrażające, napiętnowane były zarazem dzikością i znikczemnieniem. Młodociany wdzięk powinien był zapełnić i wygładzić ich policzki, a cerę ich świeżem ubarwić rumieńcem, zamiast tego jakaś ręka, wyschła i zwiędła jak ręka czasu, pomarszczyła ich lica, przywiodła do przerażającej chudości i wyżółknięcia; rysy i oczy w których powinnaby królować niewinność i anielskość, stały się przybytkiem szatanów, ciskających groźnie, nienawistne wejrzenia. Najbujniejsza wyobraźnia nie może wytworzyć nic równie potwornego i strasznego.

Scrooge zbladł i cofnął się przerażony, bojąc się obrazić ducha, który może był ojcem tych obmierzłych dzieci, chciał ukryć swe przerażenie i powiedzieć, że są dość ładne, ale słowa uwięzły mu w gardle, aby się nie stać wspólnikami tak kolosalnego kłamstwa. Zaledwie zdołał wymówić.

— Duchu, czy to twoje dzieci?

— To dzieci synów ziemi, i czepiają się mnie tak uparcie, zanosząc skargę na swych ojców. Chłopiec zwie się *ciemnota*; a dziewczyna *nędza*. Strzeżcie się obojga i wszelkich ich następców, ale najwięcej strzeżcie się *ciemnoty*, bo na czole jej stoi napis: *Potępienie*. Dalej, Babilonie! zawołał wyciągając rękę ku miastu, śpiesz się co prędzej zatrzeć ten straszny wyraz, bo on ciebie więcej potępia niż jego i jeśli jego na nędzę, to ciebie skazuje na zagładę. Śmiej utrzymywać że nie jesteś winną; potwarzaj tych co cię oskarżają—może to do czasu sprzyjać ohydnym twoim zamiarom—ale patrz końca!...

— Czyż dzieci takie nie doznają żadnej pomocy, żadnego nie mają schronienia? zapytał Scrooge.

— A przecież są więzienia! są domy kary i poprawy! rzekł duch, raz jeszcze rzucając mu szyderczo własne jego słowa.

Zegar wybił dwunastą. Scrooge szukał oczami ducha, ale nigdzie go nie było; z ostatniem uderzeniem zegara przypomniał sobie przepowiednią Marley'a, podniósł oczy i ujrzał ducha poważnej i imponującej postawy, który owinięty w długą szatę z kapiszonem, niby obłok zstępował ku niemu.

## CZĘŚĆ CZWARTA

**Trzeci i ostatni z zapowiedzianych duchów.**

Duch zbliżał się zwolna, poważny i milczący; kiedy nareszcie stanął obok Scrooge'a ten kornie pochylił głowę i zgiął kolano, gdyż duch ten roztaczał w około siebie w powietrzu, jakiś niewysłowiony, tajemniczy przestrach.

Czarna, powłóczysta szata osłaniała go całego, kryjąc jego głowę, twarz i całą postać, tak że nic nie było widać prócz rąk wyciągniętych, bez czego prawie niepodobna byłoby dojrzeć go w ciemności i odróżnić od cieniów nocy.

Gdy stanął obok Scroog'a, ten dostrzegł iż duch jest wzniosłej i majestatycznej postaci, i tajemnicza jego obecność przejmowała go zarazem poszanowaniem i trwogą. Duch milczał, nie zdradzając swéj obecności ani ruchem ani słowem.

— Czyż mam zaszczyt widzieć przed sobą ducha przyszłego Bożego Narodzenia.

Duch nic nie odpowiedział, tylko wyraźniej jeszcze wyciągnął rękę naprzód.

— Wszak, duchu, ukażesz mi cienie rzeczy, które dopiero w przyszłości nastąpić mają?

Fałdy wyższej części szaty ducha zsunęły się na chwilę, jak gdyby potakująco pochylił głowę—innej nie dał odpowiedzi.

Jakkolwiek Scrooge oswoił się już z towarzystwem duchów, jednak obecność tego widziadła czarnego i milczącego, takim przejmowała go strachem, że drżał cały jak w febrze i zaledwie mógł utrzymać się na nogach; mimo to zabierał się w drogę. Widząc jego pomięszanie, duch zatrzymał się chwilę, dając mu czas przyjść do siebie. Jednak niepokój Scroog'a wzmagał się coraz więcej, drżał jak listek osiny, gdy pomyślał że z pod czarnego tego całunu, oczy widma bacznie wpatrują się w niego, a on pomimo największego natężania wzroku, widzi tylko rękę ducha i jakby wielką czarną kolumnę.

— Duchu przyszłości, zawołał, lękam ci się więcej niż wszystkich innych dotąd widzianych, ale ponieważ wiem że ukazując mi się masz dobro moje na celu, i ponieważ postanowiłem stać się odtąd zupełnie innym człowiekiem, wdzięczny ci jestem niewypowiedzianie i gotów wszędzie ci towarzyszyć. Czyż nie raczysz przemówić do mnie?

Żadnej odpowiedzi, tylko ręka ciągle wyciągnięta była naprzód.

— Prowadź mnie więc, duchu, zawołał, prowadź gdzie chcesz; czas ubiega, a wiem jak on drogim jest dla mnie.

Duch orzucił go cieniem swej sukni, i czuł wyraźnie że cień ten podnosi go i unosi z sobą.

Nie powiemy że weszli do miasta, gdyż przeciwnie miasto zdawało się występować w około i otaczać ich swym ruchem. To pewna że znaleźli się w samym środku miasta, na giełdzie, wśród uwijających się tam i napowrót spekulantów przemysłowców i kupców, wszyscy uwijali się, biegali, brząkali pieniędzmi w kieszeniach, zbierając się w gromadki, rozprawiając o interesach, spoglądając na zegarki lub bawiąc się brelokami itd. jak to zazwyczaj bywało, gdy Scrooge bywał na giełdzie.

Duch zatrzymał się przy pewnej gromadce kapitalistów, i dając znak Scroog'owi, wyciągnął ku nim rękę, tenże zbliżył się aby usłyszeć co mówią.

— Ale nie.... rzekł jakiś otyły jegomość z obwisłym podbródkiem nie wiem nic więcej nad to że umarł.

— Kiedyż zapytał drugi.

— Wczoraj w nocy, jak słyszałem.

— Tak! i na cóż umarł? zapytał trzeci, chwytając wielką szczyptę tabaki z ogromnej tabakiery! No! byłem pewny że on chyba nigdy nie umrze.....

— Bóg tam wie na co i z czego umarł, odrzekł pierwszy, ziewając.

— A cóż zrobił z pieniędzmi? zapytał jakiś jegomość z czerwoną twarzą i nosem przyozdobionym narostem wiszącym i trzęsącym się nieustannie, jak korale u jędora.

— Licho go wie! odrzekł ziewając właściciel obwisłego podbródka; może zrobił jakie rozporządzenie, w każdym razie to wiem że pewno żadnemu z nas nic nie zapisał.

Żart ten wywołał śmiech ogólny.

No to pewna że nie wykosztuje się na najem powozów i krzeseł, dorzucił ktoś z boku, bo, na honor nie znam ani jednego człowieka, któryby zamyślał być na jego pogrzebie. Wiecie panowie, chodźmy dla szczególności... chociaż nie zaproszeni.

— Mniejsza o to, jeśli będzie suta stypa, rzekł jakiś jegomość w okularach; chcę przynajmniej najeść się za fatygę.

— No, panowie, widać że ja jestem najbezinteresowniejszy z was wszystkich,—gdyż nie poszedłbym ani dla dostania pary czarnych rękawiczek, bo wiecie że ich nie lubię i nie noszę;—ani dla stypy bo nigdy nie jadam wieczerzy,—a jednak gotów jestem zrobić tę ofiarę i iść na jego pogrzeb, bylem znalazł towarzysza. Dobrze rzecz rozważywszy, kto wie czy ja nie byłem najbliższym jego przyjacielem, gdyż mieliśmy zwyczaj zamieniać z sobą po kilka słów za każdem spotkaniem! No! żegnam panów, do widzenia!

Gromadka rozbiegła się w różne strony. Scrooge poznawał wszystkie rozmawiające osoby; spojrzał na ducha jakby zapytując o wytłomaczenie tego co słyszał.

Duch wysunął się na ulicę i wskazał mu palcem dwóch spotykających się przechodniów. Scrooge zaczął przysłuchiwać się ich rozmowie, sądząc, że znajdzie w niéj wytłomaczenie zagadki.

Poznał od razu rozmawiających, byli to dwaj bardzo bogaci i poważani przemysłowcy; zawsze się o to starał aby być od nich jak najlepiéj uważanym i posiadać ich zaufanie,—ma się rozumieć po za względem kredytu i interesów, bo o nic więcéj mu nie chodziło.

— Jak się masz? rzekł jeden.

— Dobrze! a ty?

— To samo. No stary! *Gobseck* wyniósł się nareszcie.

— Słyszałem.... Jak też dziś zimno.

— Hum! nie można się dziwić.... wszak to Boże Narodzenie; w tym czasie zazwyczaj bywają mrozy.

— No! bywaj zdrów, bo się śpieszę do domu.

I rozeszli się, nie mówiąc ani słowa więcéj.

Scrooge dziwił się niezmiernie, że duch przywiązuje jakieś znaczenie do rozmów tak czczych na pozór; jednak po chwili zastanowienia przyszedł do przekonania, że muszą one mieć jakieś ukryte znaczenie, i zaczął robić rozmaite przypuszczenia. Zdawało mu się nieprawdopodobnem, aby rozmowy te miały się odnosić do śmierci dawnego jego wspólnika Marley'a, gdyż śmierć ta należała do przeszłości, a towarzyszący mu duch był przedstawicielem przyszłości. Przechodził myślą wszystkie znające sobie osoby, ale usłyszane słowa nie dały się jakoś do żadnéj zastosować; w każdym razie był przekonany, że do kogo bądź się odnoszą, muszą zawierać jakąś naukę lub przestrogę dla niego, i dla tego postanowił rozważać bacznie każdy wyraz, jaki jeszcze posłyszy i wszystko co tylko zobaczy, a nadewszystko nie spuszczać z oka drugiego siebie ilekroć mu się ukaże, gdyż najniezawodniéj jego postępowanie stanie mu się kluczem do rozwiązania téj zagadki.

Obejrzał się więc uważnie upatrując siebie, ale ktoś obcy zajmował ulubione jego miejsce, i choć zegar wskazywał godzinę o której zazwyczaj przychodził na giełdę, w zapełniającym ją tłumie nie było nikogo podobnego do niego. Nie dziwiło go to jednak zbytecznie, gdyż już w swoich wędrówkach z pierwszymi duchami, zamierzał sobie znaczne zmiany zaprowadzić w swem życiu, myślał więc, że nieobecność jego może być w związku z powziętemi postanowieniami.

Duch stał ciągle obok niego, nieruchomy, ponury, z ręką wyciągniętą naprzód. Z ruchu ręki i położenia w jakiem duch zostawał względem niego, Scrooge wnosił, że widzialne oczy widma bacznie wpatrywały się w niego, na samą tę myśl zimny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy.

Opuszczając gwarną widownię interesów i spekulacyj, duch powiódł go w najodleglejszą część miasta, którą Scrooge znał tylko z opinji, jako zamieszkaną przez wyrzutki społeczeństwa. Uliczki były wązkie i brudne, domy i sklepiki nędzne i zapuszczone, mieszkańcy na w pół nadzy, pijani, odrażający. Tu i owdzie krzyżowały się wązkie i ciemne uliczki i przejścia, tworząc prawdziwy labirynt zatruty smrodliwemi wyziewami, oddychający brudem, zbrodnią i nędzą.

Przy jednéj z takich uliczek znajdował się nędzny sklepik, w którym kupowano i sprzedawano stare żelazo, łachmany, stare butelki i kości pozostałe na talerzach po wczorajszych obiadach. W ciemnym kącie leżały na posadzce pordzewiałe klucze, gwoździe, łańcuchy, zawiasy, pilniki, używane wagi i najprzeróżniejsze żelaztwo. Mało kto pewnie odważyłby się zgłębiać tajemnice kryjące się może pod temi wstrętnemi starzyznami i kostnicą zepsutych, cuchnących kości. W pośród tych swoich towarów, przy staréj fajerce z węglami, siedział stary, siwowłosy łotr, zasłaniając się od zimna rzęchami zawieszonemi na sznurku staréj jakiejś zatłuszczonéj firanki, i palił spokojnie fajkę, rozkoszując się urokiem swéj cichéj samotni.

Scrooge i duch stanęli tu właśnie w chwili, gdy kobieta jakaś z węzełkiem pod pachą wsunęła się do sklepu. Po chwili weszła druga także niosąca coś w ręku, a tuż za nią, jakiś mężczyzna w wyszarzanéj czarnéj sukni; tak on, jak obie kobiety które poznały się od razu, nie zmięszały się bynajmniéj tem nieprzewidzianem spotkaniem; przez chwilę patrzeli na siebie z niejakiem zadziwieniem, poczem wszyscy troje głośnym parsknęli śmiechem; właściciel sklepu zawtórował im ponuro.

— „Niech wyrobnica załatwi najpierwéj swe interesa, rzekła kobieta która weszła pierwsza; po niéj przyjdzie koléj na praczkę, a na koniec na przedstawiciela obrzędów pogrzebowych. No! stary Joe, nie prawdaż, że to szczególny traf, możnaby pomyśleć żeśmy się umówiły o miejsce i o godzinę....

— W każdym razie nie moglibyście lepszego uczynić wyboru, odrzekł stary, wyjmując fajkę z ust; wejdźcie do salonu, wszak już od dawna wszyscy troje macie ten przywiléj. Zaczekajcie, zaraz zamknę drzwi od sklepu,—ach! jak przeraźliwie skrzypią. Jestem pewny, że w całym moim sklepie nie ma tak zardzewiałego żelaztwa jak te zawiasy, ani też kości tak starych jak moje. Ha! ha! ha! trzeba przyznać, że jesteśmy doskonale dobrani i wybornie do siebie pasujemy. No! wejdźcież do salonu.

Salonem tym był kącik oddzielony od sklepu jakimś łachmanem noszącym miano firanki, stary Joe poprawił ogień prętem od jakiejś staréj poręczy schodów, podniósł nieco dymiącą lampkę, i znów cybuch włożył do ust.

Kiedy tak czynił honory domu, najpierw przybyła kobieta rzuciła węzełek swój na ziemię, i niby od niechcenia usiadła na obdartym taborecie, położywszy ręce na kolanach, i jakby wyzywająco poglądając w około.

— No! no! śmiało! i cóż w tem strasznego, mistress Dilber; przecież każdy musi myśléć o sobie; — toć i on całe życie nic innego nie robił.

— O! co to, to prawda, odrzekła praczka, pod tym względem przeszedł nas wszystkich.

— No! to też, moja kobiecino, nie masz co wachać się i wykręcać oczami, jak gdybyś się bała; nie lękaj się, kruk krukowi oka nie wydziobie!

— Bo i prawda, odrzekli razem, grabarz i mistres Dilber.

— No! to nie szukajmy wczorajszego dnia i nie traćmy czasu; myślałby kto że tu chodzi o jakieś nadzwyczajne nadzwyczajności....przecież nikomu się krzywda nie stała....a umarły pewnie się nie będzie skarżył.

— O! co to to prawda odrzekła śmiejąc się, mistress Dilber.

Jeśli stary kutwa chciał zachować to wszystko, mówiła znów kobieta, to czemuż nie radził sobie jak inni ludzie; mógł przecież zapłacić dozorczynię, któraby go doglądała do ostatniéj chwili, a nie jak pies samotnie zdychać w swej budzie.

— Co prawda, to prawda; ma na co zasłużył, odrzekła praczka.

Jeszcze to jego szczęście że mu nic więcej w ręce nie wpadło... No! rozwiąż węzełek, stary Joe, i powiedz co to warto; nie boję się choć oni zobaczą co mi się zabrać udało,—bo już od dawna wiemy że każde na swoją rękę prowadzimy interesa. Nie ma w tem nic złego; no! rozwiąż węzełek, stary.

Ale grabarz i wyrobnica przez delikatność nie chcieli na to pozwolić, aby praczka pierwsza okazała swą zdobycz,—i stanęło na tem że grabarz najpierw przystąpi do interesu. Biedak nie wielkie rzeczy przyniósł parę pieczątek, obsadkę od ołówka, dwa guziki od koszuli i spinkę małéj wartości. Joe oglądał i taksował każdy z kolei przedmiot, pisał kredą na murze ile da za niego, a w końcu dodał i zsumował wiele wszystko wyniesie.

— Rachunek twój skończony, choćby mnie piekli nie dam ani grosza więcej.

Teraz z kolei zbliżyła się mistress Dilber. Wyjęła z zawiniątka parę prześcieradeł, serwet, surdut, dwie srebrne łyżeczki, szczypczyki do cukru i parę par mankietów. Joe znów jak pierwej pisał i obliczył wszystko na murze.

Już to moja nieszczęśliwa słabość, że damom zawsze daleko wyższe daje ceny,—i to mnie właśnie rujnuje, rzekł Joe. Oto należność twoja, mistress, ale przestrzegam, nie targuj się, bo mógłbym pożałować mojej hojności, i ująć parę szyllingów.

— Teraz na mnie kolej, rzekła najpierw przybyła, oto mój węzełek.

Joe przyklęknął na ziemi i zaczął go rozwiązywać, nareszcie wyciągnął jakąś dużą sztukę ciężkiej ciemnej materyi.

— Cóż to? firanki od łóżka, zawołał.

— A tak, odrzekła kobieta, pochylając się nad swoje kolana,—firanki od łóżka.

— Jakim u licha sposobem, przeszły w twoje posiadanie? boć przecież niepodobna abyś je ściągnęła póki umarły leżał jeszcze na łóżku.

— A to czemu? czy miałam się obawiać żeby go wiatr nie zawiał? rzekła z cynicznym śmiechem.

— No! jesteś stworzona do robienia majątku, i pewny jestem że go zbierzesz;—odrzekł Joe.

- O! to więcej jak pewno, że nigdy przez wzgląd na podobnego człowieka, nie pożałuję rąk, ilekroć uda mi się co ściągnąć, odrzekła z najzimniejszą krwią. No! uważaj stary, przechyliłeś lampkę, mógłbyś jeszcze oblać olejem kołdrę.

Co! jego kołdrę? zapytał.

— A jużci nie czyją! nie bój się nie dostanie kataru.

— Czy tylko nie umarł na jaką zaraźliwą chorobę? zapytał stary tandeciarz, odrzucając kołdrę.

— Możesz że myśléć że jestem tak nie mądra, żebym dla takiego bzdurstwa narażała swoje zdrowie? nie bój się, stary! żadne nie grozi ci niebezpieczeństwo.

— Albo ta koszula przyjrzyj się tylko możesz wytrzeszczać oczy choćby do jutra, nie wypatrzysz najmniejszej nawet dziury....nigdzie nawet nie przesiana...

Bo też była to najlepsza jaką posiadał, płótno dość cienkie;—szczęście żem zobaczyła,—gdyby nie to byłaby stracona.

— Jakto stracona? zapytał Joe.

— A no! byliby go w niej włożyli do trumny,— odrzekła, śmiejąc się grubym śmiechem,—ale postrzegłszy to, zdjęłam mu ją co prędzej, kładąc nań w jej miejsce jakąś poszarpaną kartonową. I, pytam się czy mu to wszystko jedno? a że brudna i podarta mniejsza o to—choćby go i w batystową ubrać, zawsze byłby równie strasznie wstrętny i odrażający.

Scrooge słuchał téj rozmowy z niewypowiedzianą odrazą; ta trójka nędzników rozkładająca swą grabież przy słabem świetle lampki tandeciarza, budziła w nim bezmierne uczucie wstrętu i nienawiści, zdawało mu się że patrzy na szatanów, targających martwe zwłoki.

— Ha! ha! wołała śmiejąc się kobieta, gdy stary tandeciarz wyciągnął brudny płócienny worek z pieniędzmi, i odliczał na podłodze co się komu należało,—to pociesznе, doprawdy! za życia zbierał, dusił nic nigdy nikomu, nie zrobił dobrego jakby dla tego tylko, aby nam jakąś korzyść zapewnić po śmierci. Ha! ha! ha! a inni wtórowali jej śmiechowi.

— Duchu! rzekł Scrooge, drżący cały z przerażenia, zrozumiałem naukę....i mnie mógłby spotkać los podobny, bo jakie życie, taka śmierć. Ale, o nieba! cóż to ja widzę?

I cofnął się przerażony gdyż scena zmieniła się nagle, i stał tuż przy łóżku odartem z prześcieradła i firanek, na którem, pod starą płachtą leżało coś nieruchomego, strasznie przemawiającego tą właśnie bezwładnością i milczeniem.

W pokoju było bardzo ciemno, tak iż trudno było rozpoznać co się w nim znajduje, chociaż Scrooge popychany jakimś tajemniczym poszeptem, rozglądał się ciekawie aby się przekonać czy czasem pokój ten nie jest mu znany. Swiatło bijące z latarni stojącej na przeciwległéj stronie ulicy, padało wprost na ogołocone łoże na którem leżał zmarły, odarty, opuszczony od całego świata; nikt nie czuwał, nikt nie zapłakał przy jego zwłokach.

Scrooge spojrzał na ducha, którego fatalna ręka wskazywała mu głowę zmarłego. Całun zarzucony był tak niedbale, iż dość mu było lekko poruszyć palcem, aby zupełnie twarz odsłonić. Scrooge zamierzał to czynić, wiedział że to rzecz tak łatwa, chciałby jej dokonać, lecz uchylenie téj zasłony było dla niego równie niepodobnem, jak oddalenie stojącego obok niego widma.

O! zimna! straszna i bezlitośna śmierci!...możesz tu na ziemi wznosić swe ołtarze i otaczać je wszelkiemi właściwemi sobie okropnościami, bo jesteś w swojem królestwie—ale nigdy nie potrafisz tego dokazać, żeby gdy umiera osoba kochana, szanowana i poważana, żebyś mogła użyć jéj za narzędzie strasznych twoich zamiarów, piętnując jéj rysy odrażającym i wstrętnym wyrazem. O! tego nigdy dokonać nie zdołasz! Nie dla tego aby ręka takiej osoby była mniej martwą i bezwładną, aby uderzenia pulsu i bicie serca nie ustały w jej łonie—ale że ręka ta była kiedyś otwartą, prawą i szlachetną, że serce było mężne, gorące, tkliwe i kochające, że te zamknięte oczy tyle łez wylały nad niedolą współbraci... Godź więc! uderzaj, niemiłosierna śmierci! razy zadane twojemi ciosami chybią swego celu, bo z otwartych przez nie ran ujrzysz tryskające dobre uczynki, przynoszące zaszczyt jej przemijającemu ziemskiemu życiu, i stające się zarodem szczęśliwej wieczności.

(d. c. n)

## Opis N. 50.

**N. 1—3 i 28. Vêtement** i garnitur futrzany z robotą w ramach, dla małych dziewczynek. Obie ryciny przedstawiają ładne vêtement, z miękiego wełnianego materjału, koloru bronzowego, podszyte do pasa flanelką. Przybranie na obu rycinach stanowią pliski z materjału wełnianego, materji lub aksamitu w kolorze jaśniejszym lub ciemniejszym, z obu brzegów plisy zakończone są ciemno bronzowym sznurem jedwabnym. Rycina 3 wskazuje pliskę w naturalnej wielkości. Ryc. 2 przedstawia vêtement, na którem przez ubranie odznaczony jest gładki staniczek z baskiną; na vêtement pod ryciną 1 dodana jest peleryna. Garnitur futrzany składa się z kołnierza mufki i rękawków. Środek stanowi tło z roboty w ramach podanej na ryc. 28, wykonanéj z włóczki angielskiej białéj i ponsowéj. Ozdobę kołnierzyka i mufki stanowią sznury, zakończone kwaścikami z włóczki białéj i ponsowéj.

**N. 4—10. Parasol**, wachlarz, paski i broszki.

**N. 11. Stanik** z baskiną i bufowanemi rękawami. Opis tego stanika podaliśmy w N. 49 przy ryc. 1.

**N. 12. Chusteczka** robotą drutową. Materjał: czarna włóczka, dwa druty drewniane średniej grubości. Trójkątna ta chusteczka robi się tam i napowrót z czarnéj włóczki, z przodu krzyżuje się na piersiach, z tyłu wiąże się lekko. Zaczyna się od rogu na 3 oczka, robi dalej 300—400 rzędów, przybierając po 1 o. na początku każdego druta. Zakończenie koło wykroju szyi stanowi koronka odrobiona na drutach 9—10 cent. szeroka; w miejsce drutowéj można oszyć fabryczną koronką lub frendzlą jedwabną.

**N. 14—16. Różne desenie** do wyszywania na tiulu. Mogą być zastosowane przy sukni muślinowej ryc. 45, lub też do pelerynek, bluzek, poszewek i t. p.

**N. 17. Zakończenie krawatki.** Robota koronkowa. W przeszłorocznych numerach podawaliśmy szczegółowe opisy koronek i uczyliśmy różnych ściegów. Dziś podajemy zakończenie do krawatki, naśladujące prawdziwą koronkę, a zastosowane przy kokardzie ryc. 23 w N. 49 Tyg. Mód.

**N. 18. Stoliczek** do przyśrubowywania. Malowanie na drzewie. O malowaniu na drzewie pisaliśmy już niejednokrotnie, zależy ono głównie na doborze wzorów. W gwiaździe podanéj przez nas użyto sepji, ponsowego, popielatego i czarnego koloru.

**N. 19 — 20. Koszyczek** na bilety wizytowe. Fantazyjna robota z wiórów. Materjał: równo zheblowane wiórki z drzewa sosnowego; gumma rozpuszczona biały lakier; biała bawełna, 3 cent. szeroka kolorowa wstążka atłasowa. Koszyczek ten zakończony riuszą i przybrany liśćmi z wiórów, stanowi przyjemną i ładną robótkę fantazyjną. Twardy materjał można przez moczenie, tak zmiękczyć, iż następnie służyć może do wyrobu najdelikatniejszych kwiatów. W tym celu kładzie się heblowiny na kilka minut w wodę cokolwiek nagumowaną, po wyjęciu gdy woda ocieknie, rozkłada się heblowiny zupełnie gładko między dwa grube płótna, które wsiąkają zbyteczną wilgoć, niedozwalając jednak zupełnie wyschnąć heblowinom. Nakoniec ostremi nożyczkami wycina się potrzebne formy. Należy tylko pamiętać przy układaniu, ażeby zawsze szorstka, wypukła strona szła do wierzchu, a wklęsła, gładka do spodu. Na wzorze, długie w kształcie wstążek cięte heblowiny, mające najwyżéj 1 cent. szerokości podwójnie wzięte i w kratę plecione, stanowią dno i pałączek koszyczka, listki zaś robią się z czterech naklejonych na sobie pokładów heblowin. Foremkę listka potrzeba wykroić najpierw ze sztywnej tektury podług ryc. 20 i podług niéj dopasowywać listki. Do przyozdobienia pałączka użyte są mniejsze listki niż w około koszyczka. Żyłki wyciskują się tylko w dwóch zwierzchnich pokładach listka; brzegi muszą być równo dopasowane i przecięte. Duży talerz głęboki z zaokrąglonemi kantami służy za podstawę do plecenia koszyczka. Na kratę potrzeba 19 pasków, 23 cent. i jednego 56 cent. długiego paska, stanowiącego środkowe przeplecenie i zarazem pałączek koszyczka. Paski te układa się na głębokim talerzu, tak aby brzegi nieco wystawały, przeplata i skleja równo ze sobą. Póki jeszcze heblowiny nie wyschną, przyszywają się w górze do podwójnego okręgu i równo przycinają. Gdy koszyczek jest upleciony, pociąga się od środka gummą dla nadania sztywności a gdy wyschnie, wyjąć go można z talerza, potem ozdabia się w górze i na pałączku girlandką podług ryc. 19. Dla pokrycia ściegów przyszywania liści, wykleja się od środka brzeg górny podwójną heblowiną, pociąga cały białym lakierem a po wyschnięciu dodaje riuszę z ponsowéj atłasowéj wstążki.

**N. 21. Wieszadło** do kluczy. Robota nakrapiana. Materjał: tusz chiński lub sepja, grzebyk i szczoteczka do nakrapiania, suszone liście, gałązki, lakier. Podług ryciny 21 potrzeba dopasować wyrzynaną deseczkę, któréj brzegi powinny mieć po 16 cent. długości. Sposób roboty nakrapianéj niejednokrotnie podawaliśmy w dawniejszych N-rach Tygodnika, do nich więc odsełamy czytelniczki. Po skończeniu nakrapiania, niektóre cienie, żyłki i gałązki odznaczyć można piórem.

**N. 22—23. Deseń** na poduszkę do kanapy lub pod nogi, wyszycie na kanwie wypukłemi krzyżykami. Podług cieni w kolorach odznaczonych na obu rycinach dobiera się dowolnie harmonijne kolory włóczek i odrabia podług wzoru deseń cały wypukłemi krzyżykami to jest przewłócząc dwa ściegi przez 4 nitki kanwy wzdłuż i 4 wszerz. Na arabeski dobrać można także odmienny ścieg np. podwójny lub smyrneński. Środki i tło zarabia się zwykłym ściegiem.

**N. 24—25. Dywanik** z pasków sukiennych i flanelowych. Robota na drutach. Materjał: gruba bawełna estramadura N. 4 albo cienki sznureczek; resztki sukna i flanelki, które mogą być zastąpione resztkami starych materji, stalowe druty średniéj grubości. Dywanik taki służyć może przed biórko, lub łóżko. Głównym przymiotem téj roboty jest, iż może być wykończona małym, lub bez żadnego kosztu. Czarne sukno służące na paski do tła środkowego dobrać można ze starego ubrania kaftanika, okrycia, fraka lub t. p. Białe i kolorowe resztki sukna lub flaneli dostać można w składach sukna. Każdy z łatwych deseni na kanwę może być i tutaj zastosowany; ażeby usunąć niedogodność roboty coraz to szerszego dywanu, najlepiéj jest robić go w pasy około 20 cent. szerokie, które następnie zszywa się od spodu. Potrzeba tylko uważać aby palmy deseniu mijały się z sobą. Wzór liczy 90 cent. długości, 46 c. szerokości i zaczyna się na 200 oczek. Robota idzie ciągle gładko i nie nazbyt luźno, robiąc tam i napowrót; w rzędzie zaś do ręki lewéj co dwa oczka przyrabia się paseczek sukna rozcięty środkiem, jak to dokładnie wskazuje ryc. 25 w formacie trochę zmniejszonym. Na wzorze paski sukna są 2 cent. długie i 1 cent. szerokie. Przyrabianie pasków wykonywa się prosto, nawlócząc przecięty pasek na nitkę roboczą, przysunąć go aż do samego oczka i przerobić gładko dwa następne oczy. Wszystkie paski sukna idą do lewéj strony, następnie po ukończeniu całego rzędu przerabia się jeden rząd gładko, w następującym zaś przyrabianiu pasków, powinny wypadać jedne równo nad drugiemi. W miejsce obrobienia brzegów różno kolorowemi paskami, można dywanik oszyć czarną frendzlą. Po zupełnem wykończeniu podszywa go się grubem szarem płótnem.

**N. 26 Spódnica** robiona na drutach. Spódnica ta zmarszczona w górze i wszyta w pasek 3 cent. szeroki liczy 73 c. długości, 160 c. szerokości dolnéj i składa się z dwóch brytów zeszytych krytym ściegiem od spodu, robionych oddzielnie z białéj wełny, tam i napowrót, dość luźno na drutach stalowych i drewnianych. Każdy bryt zwężony skośno ku górze, przez gubienie, zaczyna się od dołu na 266 oczek. U dołu dodany jest szlak w zęby 18 c. szeroki, którego deseń stanowi rodzaj kraty odmiennéj od tła spódnicy. Pierwsze dwa rzędy od początku są odwrotnie robione, dalej następuje 5 rzędów gładkich i 4 odwrotne, 1-e zaczynają się 1 obr. odwrotnem, a 2e 1 obrob. gładkiem. W pasach gładkich obrobienie 1-ze, 3-cie i 5-te, wykonywa się następującym sposobem: * 4 o. gł. 3 razem zgubić 4 gł., 1 przy. 1 gł. 1 przy. i powtarzać od *. W następnym odwrotnem obrobieniu przybrania robią się jako oczy. Po wykończeniu szlaku robi się dalej w jednym ciągu bryty; próbkę ściegu naturalnéj wielkości przedstawia ryc. 15 w N. 49, dopiero po 20 obrobieniach zacząć wypada gubienie, czyli zwężanie brytów ku górze. Dla otrzymania rozporka 21 c. długiego, przy 120 obrobieniu, tylny bryt rozdziela się na 2 druty i każdą połowę robi osobno. Gdy pozostaje już od góry tylko 218 oczek, potrzeba każdy bryt zakończyć łańcuszkiem.

**N. 27—28. Kaftanik** damski włóczkowy. Materjał: włóczka lub wełna biała nie kręcona, grube druty. Kaftanik zaczyna się od dołu i robi luźno w koło jak pończocha w paski o 2 oczkach, naprzemian gładkich i odwrotnych. Tylko na ząbeczki u dołu odrabia się najpierw od lewéj strony 4 razy całkiem gładko, w 5-tym



N. 1. Ubranie negliżowe. N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną i szarfą.

naprzemian 1 o. przy. 1 zgubić, dalej znów 5 rzędów gładko, przy 6-tym złożyć szlaczek we dwoje i połączyć za każde oczko razem. Po 110 obrobieniach, dla otrzymania rozporka na pachę rozdziela się stan na 2 druty, robi oddzielnie przód i plecy, i obrabia jeszcze 30 razy. Następnie z brzegów każdéj połowy zostawia się po 16 o. do przyrobienia ramiączka, a pozostałe obrabia łańcuszkiem. Ramiączka obrabia się 60 razy tam i napowrót gładko, i przyrabia do przeciwnéj strony. Rękawki robią się w poprzek oddzielnie, zawsze gładko tam i napowrót, zacząwszy na o. 24. Klinik przyrabia się w jednym ciągu, spaja z przeciwną stroną i nakoniec rękawki wszywa się do pachy. Koroneczkę do wykroju i rękawów robi się oddzielnie.

**N. 29—30. Włóczkowy** kapturek dla dziecka, robiony na drutach. Dwa kwadraty zaczęte na ocz. 12, przybierane na początku każdego druta aż do ocz. 100 lub 120, następnie w odwrotnym

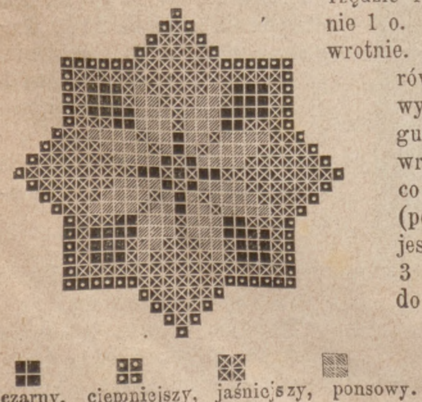


N. 4. Spódnica zakończona przestębnowaniem i plisami.

kierunku gubione do ocz. 12, ułożone jeden na drugim, stanowią podwójną główkę kapturka. Dwa zaokrąglone rog i obrócone być powinny do środka. Karczek i rondko odrabia się podług próbki N. 30. Przy twarzy i nad karczkiem z tyłu, przewleczone są do przyciągania sznury kręcone, zakończone kwastami.

**N. 31. Majteczki** włóczkowe dla dzieci od lat 1—4. Zacząwszy na ocz. 100 obrabia się gładko tam i napowrót 96—100 razy, potem zostawiwszy po 2 o. na początku i końcu druta, obrabia się resztę w koło jak pończochę 16 razy, dając zawsze 2 o. gładko, 2 odwrotnie. Do 4 pozostałych oczek przyrabia się klin na kolano; klin ten jest tyle razy co i majtki obrobiony. Na początku każdego druta przybiera się 1 oko w 40 początkowych obrobieniach, poczém 16 lub 20 środkowych rzędów robi się równo, a w następnych gubi po 1 oku aż do 4-ech. Nakoniec obrabia się majtki u góry słupkami i pikotami szydełkiem; słupki służą do przewleczenia wstążeczki do wiązania. U dołu dodane tylko pikoty szydełkowe.

**N. 32. Ciepłe** nakolanniki robione na drutach. Nakolanniki z białéj angielskiéj włóczki, zaczynają się od środkowego klina na ocz. 2 w następnych 69 rzędach dobiera się co 4 obro. 2 oczy w środku (razem więc o. 36) W tym celu zarzuca się raz nitki na drut, a w następnym rzędzie robi się w nie 1 o. gł. 1 odwrotnie. Po 30 równych środkowych obrobieniach, gubi się w odwrotnym kierunku co 4ry obrobienia (po dwa oczy to jest robi środkowe 3 oczy razem) aż do 2 ocz. końco-

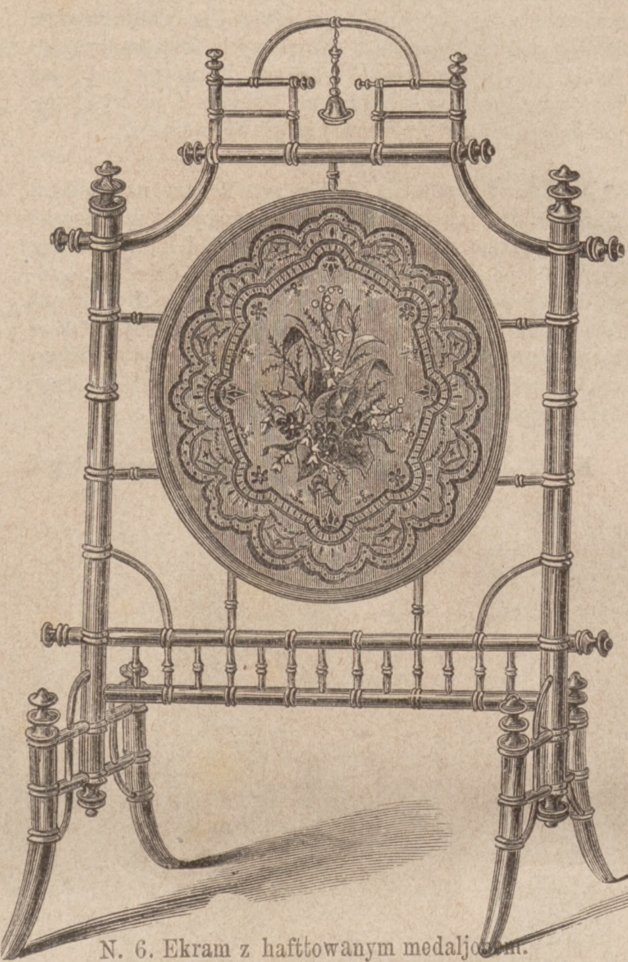


czarny, ciemniejszy, jaśniejszy, ponsowy. zielony

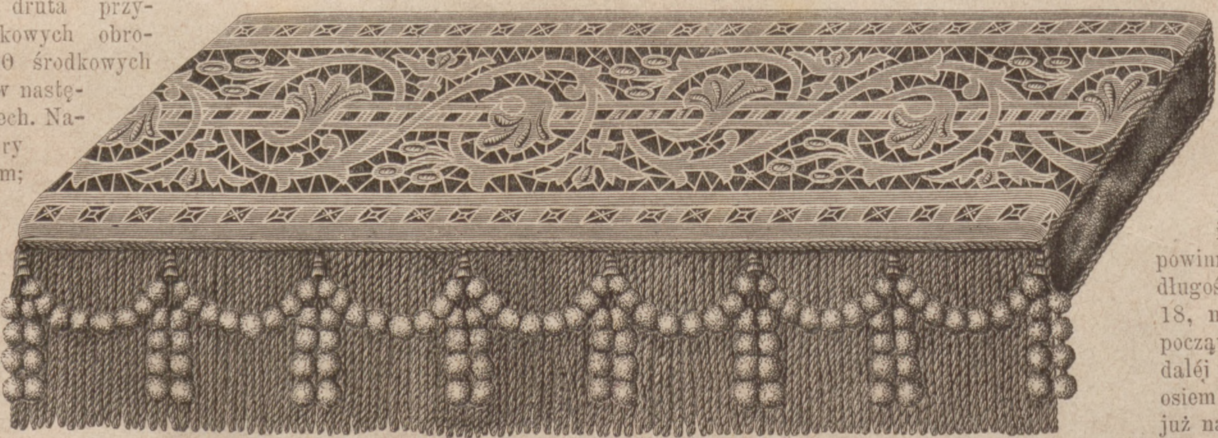
N. 9. Gwiazdka do ryc. 8.



N. 3. Serweta na stół. Deseń i opis na dodatku N. 2.



N. 6. Ekram z hafttowanym medaljonem.



N. 7. Poduszka do okna. Haft dziergany.



N. 8. Przykrycie do okna. Robota krzyżowa Patrz N. 9—10.

wych. Potem brzeżne oczy z każdego boku klina nabierają się na druty, obrabiają najpierw w koło jak pończocha 3 razy odwrotnie, dalej 41 razy 2 o. gł. 2 odwrotnie, poczem dolną stronę zakończa się bardzo luźnym łańcuszkiem. W stronie zaś górnej po 41 równych obrobieniach, przybiera się 1 oko w środku każdego paska, obrabia 3 lub 4 razy paski, mające po 3 ocz przybiera znów po 2 oczy, w każdym, to jest między 1 i 2 oraz 2 i 3cim okiem, obrabia po 5 o. w pasku 3 razy i zakończa łańcuszkiem.

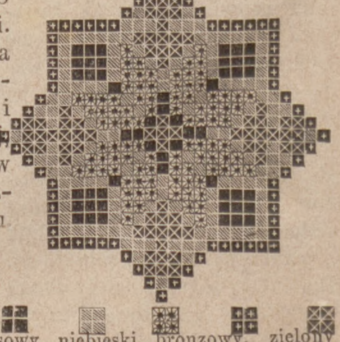
**N. 33. Fanszonik** z włóczki białej angielskiej. Robota na drutach, ścieg pluszowy. Wykroiwszy z papieru dokładną i odpowiedniej wie kości formę fanszonika z długiemi końcami, zaczyna się następnie robotę od środka i gubi następnie podług formy. Na ścieg pluszowy okręca się nitką koło palca, a otrzymaną tym sposobem pentelkę robi razem z oczkiem, najlepiej zarzucać nitkę przy każdem oku, a następne 3 rzędy robić gładko. Początkowe i koń-



N. 5. Fartuszek przybrany aksamitem.

cowe oczy każdego rzędu powinny być luźno robione, a następnie przy obrabianiu garnirunku daje się w każde dwa oczka ścisłe szydełkowe. Riusza robiona jest z jedwabiu lub filozeli białej, a ostatnie obrobienie jest kolorowe. Taki garnirunek może także być siatkowy. Na całym fanszoniku dodany jest rzucik kolorowy, który można przyszywać na końcu, przeprowadzając filozelę z lewej strony, albo wrabiać od razu w równych odstępach.

**N. 34. Czepeczek** włóczkowy do wkładania na biały czepeczek. Robota na drutach. Denko z tyłu okrągłe, z przodu w ząb śpiczasty zakończone, robi się z cienkiej, niekręconej czarnéj kamelorowéj włóczki (Eiswolle.) zawsze gładko i luźno tam i napowrót. Denko takie mieć powinno 32 cent. szerokości, 39 cent. długości, zaczyna go się od tyłu na o. 18, następnie przybiera po 1 o. na początku każdego druta, aż do 75 o. dalej obrobić 80 razy, gubiąc co osiem obrobień jedno oko, a potem już na początku każdego druta gubić, aż do 1-go oka. Całe denko podszywa się następnie tiulem czarnym, nawłóczy z tyłu elastyką, a przód przyszywa do czółka ze sztywnego tiulu, nad czołem w ząb zakończonego, mającego w środku 3 i pół, z brzegów 2 cent. szerokości a 48 cent. długości. Garnirunek układa się z koronki robionej na drutach 3 i 5 cent. szerokiej, którą układa się w fałdki, lub marszczy podług modelu.



czarny, ponsowy, niebieski, bronzowy, zielony

N. 10. Gwiazdka do ryc. 8.

**N. 45. i 13 — 16. Muślinowa** suknia z koronkowemi wstawkami.

W dolnym wolancie, naszytym na sukni, kontrafałdy rozdzielone są wstawkami tiulowemi. Drugi węższy wolant również ułożony w kontrafałdy i wolant zakończający tunikę, są z gładkiego muślinu; falbany u rękawów mają wszyte wstawki. Wstawki haftowane i tiulowe wszyte w suknię po nad wolantem, przytwierdza z obu brzegów stębnowana webowa pliska.

Przybranie stanika dane podłużnie i spięte z przodu kolorową kokardą, składa się z paska muślinowego, ułożonego w kontrafałdy, środkiem przyszytego wstawką. Podpięcie bufy tuniki z jednej strony przymocowane do paska, z drugiej zakończone długą szarfą.

Ryciny 13 — 61 podają różne wzory wyszycia na tiulu, które odpowiednie są na wstawki od wolantu.



N. 22. Okrycie na bal lub do teatru, z kołnierzem i haftem. Opis, krój kołnierza i haft w dodatku N. V Fig. 14—17.



N. 27 Kaftaniczek bez rękawów. Patrz ryc. 26. Krój i opis w dodatku N. II Fig. 6—11a.



N. 23. Okrycie przybrane sznurem i koronką.



N. 24. Okrągły kapelusz przybrany czaplem piórem.



N. 25. Kaftanik muślinowy z fałdowanym karoczkiem krótkiemi rękawkami. Opis i krój kołnierza w dodatku N. III Fig. 12.



N. 26. Kaftaniczek bez rękawków z wachlarzowem karoczkiem. Patrz ryc. 27. Opis i krój w dodatku N. II Fig. 6—11a



N. 28 Chusteczka muślinowa z karoczkiem. Opis i krój w dodatku N. IV, Fig. 13.

## Opis do N. 51.

**N. 1. Negliżowe ubranie.** Negliż podany na ryc. 1 formą princesse, odrobiony jest z niebieskiego wełnianego rypsu w biały deseń, podszewka zaś niebieska tybetowa. Na wszystkich szwach, przy pliskach ubierających dół, kieszenie i rękawy, również przy kołnierzyku, dane są niebieskie aksamitne wypustki. Przód zapinany na wielkie aksamitne guziki. Siatka sznelowa koloru włosów; z boku kokarda niebieska.

**N. 2. Suknia** ze stanikiem z baskiną i szarfą. Przybranie sukni z materjału wełnianego, rezedowego koloru stanowi wolant szeroki, u dołu i u góry wycięty w zęby objęte materją, po nad wolantem dane wązkie pliski z zieloną jedwabną wypustką. Na staniku z baskiną zapinanym na zielone guziki, także naszyte są pliski jedwabne. Szarfa związana z boku, zakończona bogatą wiązaną frendzlą jest z modnéj matowéj materji, przerabianéj w pasy kolorowe. Kołnierzyk i mankiety z haftu i koronki. We włosach wysoki szyldkretowy grzebień.

N. 3. Opis na arkuszu z krojami.

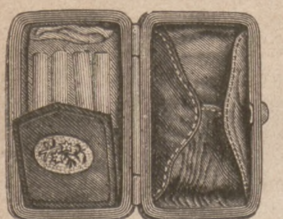
**N. 4. Spódnica** z przestębnowaniem i plisami. Spódnica ta z przodu 92, z tyłu 97 cent. długa, u dołu ma 132 cent. szerokości. Bryt przedni z boków skośno ścięty i oba boczne kliny, przykrajać można podług Fig. 18—19 na arkuszu dodatkowym, brakującą szerokość dopełnia się brytem prostym. Spódnica podana na ryc. 4, odszyta z dubeltowo wziętego czarnego wełnianego materjału, od dołu na 40 cent. podłożona jest watą i przepikowana podług wzoru. Przybranie stanowią dwa rzędy potrójnych plisek 4 i pół cent. szerokich. U góry przedni bryt wszyty jest w pasek wycięty w ząb, tylne bryty mają dodaną listewkę do nawleczenia. U dołu spódnica objęta czarnym aksamitem.

**N. 5. Fartuszek** przybrany aksamitem. Na fartuszek 62—70 centym. długi, formą kliniastą, potrzeba z kawałka prostego materjału, odciąć dwa kliny skośne po 13 cent. górnej, a 26 dolnéj szerokości, poczem brzegi proste klinów, przyszywają się do skośnego przodu. Ładne przybranie stanowi plisa aksamitna 10 cent. szeroka, podszyta sztywnym muślinem; brzegi plisy wycięte są w zęby po 8 cent. szerokie, a 2 cent. głębokie. Zęby oszyte są pasmanterją z czarnego jedwabnego sznura i marszczonéj koronki 3 cent. szerokiéj. Fartuszek u góry wszyty jest w odpowiedni aksamitny pasek, wycięty w ząb i odpowiednio przybrany sznurem i koronką. Sznur zakończony kwastami służy do wiązania fartuszka.

*Korespondencja.*

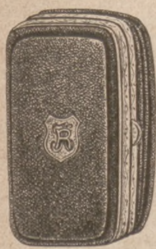
Pani Wandzie D. Na wełniane suknie największego używają powodzenia: serże popeliny i sukienka vigogne. Do modnych kolorów należy: zielono-oliwkowy.

Między koronką wpięte są pojedyncze pukle i rozety ze wstążeczki atłasowéj lila, ¹/₃ cent. szerokiéj, na denku naszyta gładko wstążeczka i szersza, marszczona koronka. Ta sama koronka spaja się na barbki, od góry brzegi są tylko zeszyte ze sobą, daléj zaś podług formy połączone i rozszerzone robotą szydełkową. Próbki odpowiedniéj koronki znajdują się na ryc. 28 i w N. 49 Tygod. ryc. 9 i 10.



N. 11. Cygarnica otwarta patrz ryc. 12.

**N. 35. Podeszwa** robiona na drutach. Bardzo ciepła i dogodna na mrozy. Podeszwa do włożenia w buciki robi się w koło jak pończocha, z białéj lub kolorowéj włóczki, pasując robotę do podeszwy wykrojonéj z tektury, podług miary bucika. W palcach zarabia się jak pończocha, a z drugiego brzega zakończa jak woreczek i wsuwa w środek ową formę z tektury, a następnie zaszywa. Gdy podeszwa się zbrudzi lub przepoci, wysuwa się z niéj tekturę i pierze w letniéj wodzie z mydłem.



N. 12. Cygarnica zamknięta patrz ryc. 11.

**N. 36. Szlaczek** szydełkowy w ząbki do pelerynki, kaftaniczka dla dzieci lub t. p.

**N. 37. Szlak ażurowy** do pelerynek, kaftaniczków i t. p. Robota szydełkiem. Dwa rzędy mijających się z sobą oczek śc. rozdzielanych o. pow. stanowią zaczęcie ażurowego szlaku, robionego naprzemian z włóczek: białéj, czarnéj, nakrapianéj i kolorowéj, zaczynając od koloru czarnego. W następnym rzędzie przejmuje się po 2 pentelki w dwa przedziały między o. śc. przewłóczy przez nie jedną pentelkę, którą znów jednem o. łączy z o. będącem na szydełku, potem przerabia 1 o. powietrzne. Powrócić od *. Rząd stanowiący górne zakończenie składa się z 3 o. pow. i 1 o. śc. zajmowanych za o. pow. poprzedniego rzędu. Przez ten rząd przewijany jest łańcuszek z o. pow. przyczepiony o: ścisłemi. Rycina 37 z całą dokładnością podaje wzór tego szlaku.

**N. 38. Robota** w ramach do kołnierza i mufki rycina 1.

**N. 39—40. Woreczek** do robót ozdobiony haftem. Materjał: zielony jedwabny ryps, białe sukno kolorowy kordonek, zielona wstążeczka 2 centy. szeroka zielony jedwabny sznur, kwaścik zielony jedwabny, jasno bronzowa torsada, tektura, zielona wełniana podszewka. Wierzchnie strony woreczka zajmując dwa owale z sukna 11 cent. długie, 7 i pół szerokie, ozdobione haftem z kordonku kolorowego, ściegiem płaskim i cierniowym, podszyte tekturą. Brzeg owali zakończa falbanka wycięta w ząbeczki, 1 i pół cent. szeroka, nad nią naszyta jest dwoma rzędami jasno brązowa torsadka, jak to widać na ryc. 39. Rycina 40 podaje wzór medaljonu, wyhaftowanego kolorowemi jedwabiami. Pas jedwabnego zielonego rypsu, 50 cent. długi, 10 c. szeroki, na końcach podszyty listewką do przewleczenia sznurów, stanowi boki woreczka i połączenie obu zwierzchnich owali. Przy zeszyciu zostawia się po 5 ¹/₂ cent. na otwór woreczka; związanie stanowi sznur jedwabny zielony, zakończony kwastami. Pod kokardami ze wstążki przyszytemi w górze na owalach, przytwierdzony jest guziczek i pentelka do zapięcia woreczka.



**N. 41. Okrągły** kapelusz dla małego chłopczyka. Skromne przybranie marynarskiego, ceratowego kapelusza, z okrągłą 4 i pół cent. wysoką główką i 3 cent. szerokim rondkiem, włożonego trochę ku tyłowi głowy, stanowi rzymski szalik, zakończony frendzlą, 100 cent. długi, 6 szeroki, który przefałdowany otacza w około główkę, a z lewej strony wiąże się w węzeł z dwoma spuszczonemi końcami. Kotwica wpięta obok węzła, wyrobiona jest z kości słoniowej.



N. 13. Pugilares do biletów wizytowych otwarty. Patrz ryc. 14.

**N. 42. Okrągły kapelusz** dla małej dziewczynki. Popielaty filcowy kapelusik z owalną główką i rondkiem trochę w giętem na bokach, objęty jest niebieskim aksamitem. Przybranie stanowi wstążka popielata 118 cent. długa i wstążka niebieska, opasujące kapelusz i ułożone w kokardy i końce spuszczające się. Z lewej strony pod kokardą, wpięte jest skrzydełko popielate.



N. 14. Pugilares do biletów zamknięty. Patrz ryc. 13 i 15

**N. 43. Kaftaniczek** bez rękawów. Podany z przodu kaftanik bez rękawów odnosi się do ryc. 2 w N. 49 Tyg. Mód.

**N. 44 Suknia** z trenem i stanikiem pod szyją z kolorowej materji.



N. ... ryc. 19.



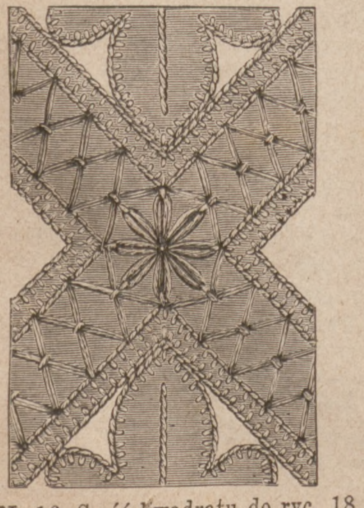
N. 17, Męzki ... w dodatku N. 1. ... Deseń N. 4.



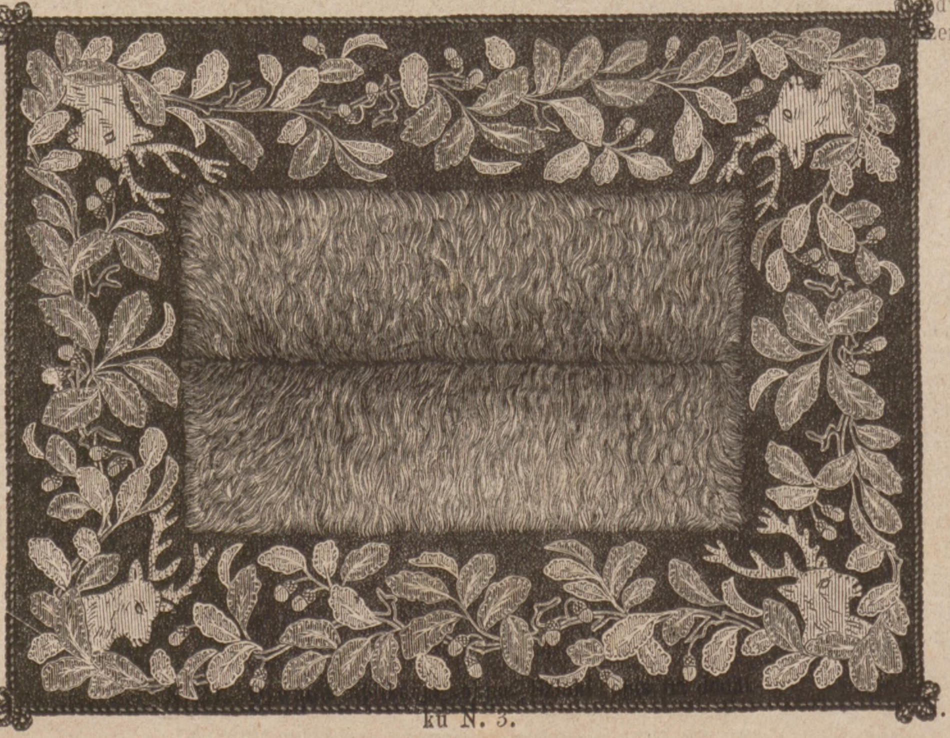
N ... ryc. 16 i 17 w N. 52 Tygod. Mód.

Wolant z nagłówkiem 35.—40 cent. szeroki, który tylko z tyłu dany jest brzegiem sukni, z boków zaś zwęża się do 7 centy. podnosi w górę i sięga aż do paska i plisa aksamitna, z wypustką kolorową atłasową, oszyta frendzlą, naśladują i zastępnją tunikę. Takaż plisa bez frendzli, przyciska nagłówek wolantu i stanowi przybranie stanika. Wolant u półotwartych rękawów. zakończonych w górze bufą, liczy 7 cent, szerokości.

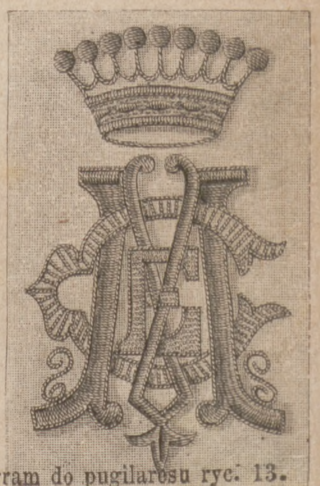
Szarfa przypięta z boku na pasku aksamitnym, ozdobionym sznurem, jest z krepy jedwabnej koloru sukni, zakończona u dołu szeroką frendzlą.



N. 16. Część kwadratu do ryc. 18.



... ku N. 3.



N. 15. Monogram do pugilaresu ryc. 13.